

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

NUMER ŚWIĄTECZNY

CENA 0,80 F.

PRIX 7 F. B.

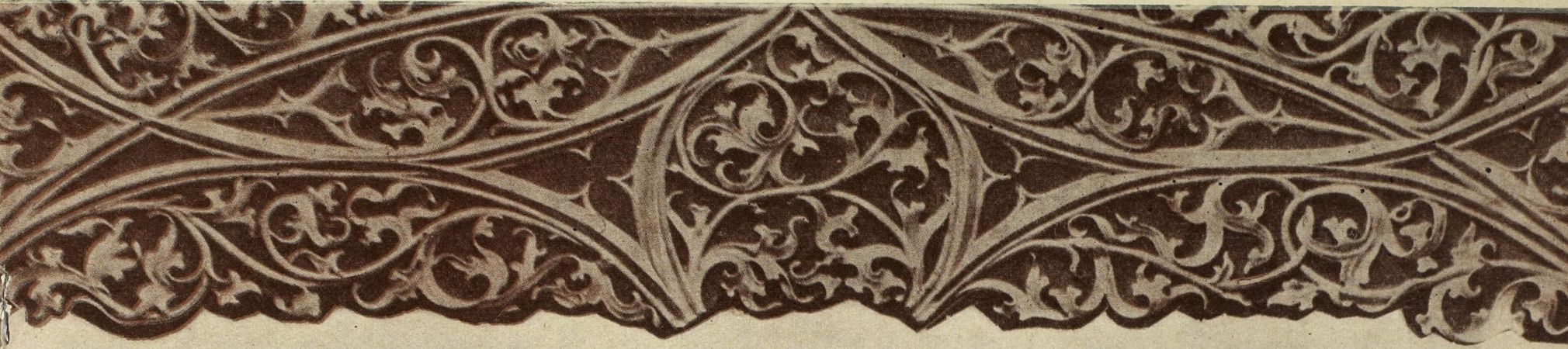
6 kwietnia 1969

avril

Rok wydania XII Nr 14 (598)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

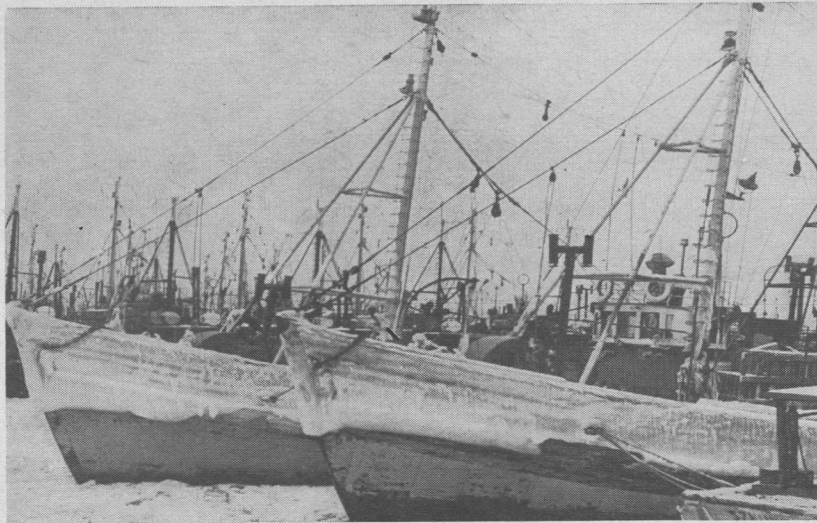


Wesołych Świąt

FP 2373

KRAJ W OBIEKTYWIE

We Francji już wiosna w pełni, a w Polsce w połowie marca zima wróciła. Wiatr miał siłę 10 stopni Beauforta, najwyższy wskaźnik spotykany na Bałtyku. Port we Władysławowie wyglądał — jak na Dalekiej Północy



NASZA OKŁADKA

Wybitny artysta w dziejach rzeźby polskiej Wit Stwosz stworzył w latach 1477—1489 dzieło rzeźbiarskie wszechczasów — Ołtarz Mariacki w Krakowie. Miasto doceniło przybyśza z Norymbergi. Był zwolniony od wszystkich opłat miejskich.

Ołtarz Mariacki był pierwszym i najznakomitszym dziełem Wita Stwosza. Artysta ukazał w nim wszystkie możliwości artystyczne średniowiecza, otwierając zarazem wrota nowej epoki. Krakowski ołtarz jest dziełem, które ilustruje najważniejszą scenę z życia patronki kościoła. Podstawę jego tworzy płaskorzeźba przedstawiająca przodków Marii. Warto zaznaczyć, że wiele postaci przedstawionych na płaskorzeźbach to krakowscy mieszcianie i rzemieślnicy, którzy pozwolili mistrzowi. Hitlerowscy okupanci wywieźli ołtarz wraz z innymi skarbami sztuki do Norymbergi. Zarówno podczas transportu, jak i w czasie niewłaściwego składowania dzieło to uległo dewastacji. Po wyzwoleniu Ołtarz Mariacki wraz z innymi skarbami sztuki polskiej został rewindykowany. Poddano go żmudnym zabiegom rekonstrukcyjnym i konserwatorskim. Po kilku latach znalazł się on ponownie w Kościele Mariackim. Od tamtej pory jako najwyższe osiągnięcie artystyczne gotyku stanowi główny przedmiot zainteresowania turystów odwiedzających Kraków. Warto przypomnieć, że Wit Stwosz wykonał w Polsce również wiele innych dzieł. W Krakowie pozostawił rodzinę i majątek. Zmarł w 1533 r. w Norymberdze.



Pogoda może trudna, ale artylerzyści ćwiczyć muszą, zwłaszcza specjaliści z przeciwlotniczej. Zła widoczność im nie przeszkadza, bo wzrok radaru przebija mgłę i chmury i nieomylnie ukazuje cel



Polska dziczyzna to cenny delikates eksportowy. Dla myśliwych radość łowcy — dla Kraju korzyści



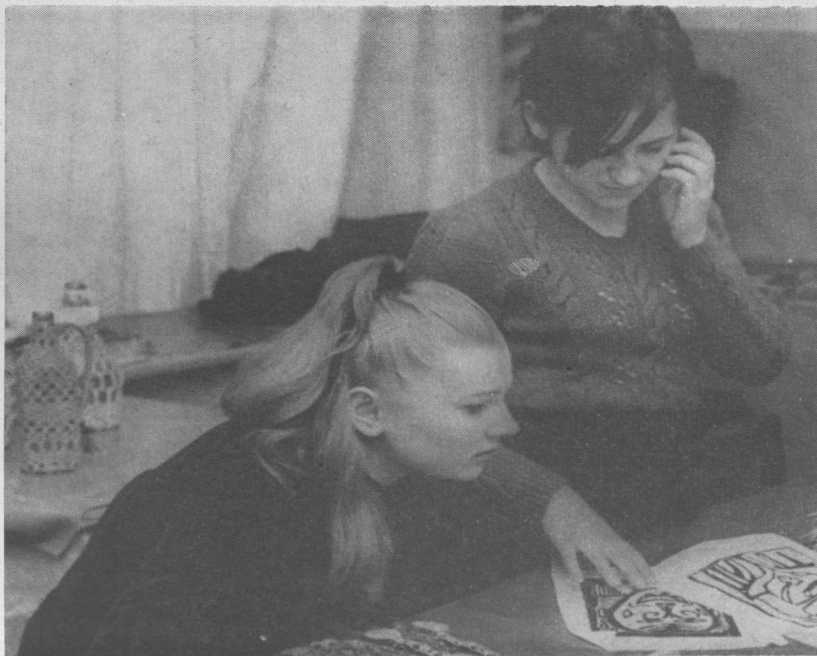
Andrzej Wajda jest reżyserem filmowym, którego filmy budzą zawsze zainteresowanie. W tym roku otrzymał nagrodę „Złotego Ekranu” za telewizyjny film „Przekładaniec”

W Polsce najwięcej milionerów posiada „LOT”. Już siedmiu pilotów i radiomechaników oraz mechaników pokładowych przeleciało ponad 5 milionów kilometrów. Otrzymali oni specjalne odznaki



Lidia Wrona (tak się nazywa ta blondynka z lewej) należy do stałych bywalców ogniska plastycznego w Swinoujściu. W ten sposób kształci się w Kraju „niedzielnych artystów”

Polskie koleje otworzyły centralny Zakład Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. Nowoczesna maszyna cyfrowa JCF służyć będzie skomplikowanym obliczeniom statystycznym. Minister komunikacji Piotr Lewiński (drugi z prawej) dokonał otwarcia tej nowej placówki



ŚMIGUS DYNGUS



LA tradycyjna „ceremonia” du śmigus-dyngus, która ma miejsce tuż po Wielkanocy, jest znana w całej Polsce. Nul nie wie, że ta data, która jest świętem wiosny i czasu, kiedy obserwujemy całą kampanię polską. Według niektórych, dyngus i śmigus to dwa zwyczaje popularne, które się różnią, ale które są związane z tym samym czasem, kiedy wiosna zwycięża nad zimą. W tym czasie, w całej Polsce, w każdej regionie, w Warszawie, w Lublinie, w Białymostku, w Śląsku itp. obchodzą ten dzień w sposób różnorodny. To jest jedna z wielu form, w których radość życia się przejawia i która jest wspólna dla wszystkich. Aby uczestniczyć w tym, trzeba być gotowym, trzeba być czystym, trzeba być gotowym do tego, aby się splusnąć. To jest zwyczaj, który się odnotował w Indiach w prowincji Bengali, gdzie wiosną, a więc mniej więcej o tej samej porze, przez trzy dni mieszkańcy spluwają się wodą, zmywając w ten sposób z siebie grzechy. Również językoznawcom nie udało się bezspornie ustalić, od jakich obcych wyrazów wywodzą się i zostały spolszczone słowa — dyngus i śmigus. Istnieje na ten temat kilka teorii.

Foto: Aleksander ŁADNO

Taki śmigus to nie przelewki — suchej nitki na dziewczynie nie będzie... Ma prawo do rewanżu...

WŚRÓD wielu dawnych zwyczajów ludowych stopniowo zanikających ten utrzymuje się niemal w całej Polsce. W jednych okolicach nazywają go dyngusem, w innym śmigusem, a w jeszcze innych oblewaniem, polega bowiem na wzajemnym oblewaniu się wodą. Badacze folkloru nigdy nie rozstrzygnęli ostatecznie, skąd się wziął ów zwyczaj obchodzony w wielkanocny poniedziałek. Spotyka się go i u innych narodów słowiańskich, a jeden z podróżników angielskich z końca XVIII wieku zetknął się z czymś podobnym w Indiach w prowincji Bengal, gdzie wiosną, a więc mniej więcej o tej samej porze, przez trzy dni mieszkańcy oblewają się wodą, zmywając w ten sposób z siebie grzechy. Również językoznawcom nie udało się bezspornie ustalić, od jakich obcych wyrazów wywodzą się i zostały spolszczone słowa — dyngus i śmigus. Istnieje na ten temat kilka teorii.

Początkowo dyngus i śmigus były odrębnymi zwyczajami. Dyngus łączył się z okupem placonym chłopcom chodzącym gromadnie po gospodarzach ze świątecznymi życzeniami; śmigus zaś — z chłostaniem gałązkami wierzbowymi lub oblewaniem wodą. Ale że oba zwyczaje zbiegały się w czasie, więc z upływem wieków obie nazwy zaczęły znaczyć to samo, chociaż tu i ówdzie do dziś są to jeszcze dwa różne zwyczaje. O tym, że są one bardzo stare, świadczy uchwała synodu diecezji poznańskiej z czasów Władysława Jagiełły, która nakazywała duchownym: „Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet, a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarki, ani do wody ciągnąć”. Nie na wiele się przydała przestroga dostojnych członków synodu, którzy w dyngusie-śmigusie widzieli pogański zabobon, skoro zwyczaj utrzymał się do naszych czasów. Co najciekawsze, że trwa on również w miastach, które raczej likwidują stare, ludowe tradycje. Na polskich wsiach kwitnie dyngus jeszcze w całej okazałości, o czym świadczą nasze zdjęcia pochodzące z Woli Sufczyńskiej w powiecie Otwock na Mazowszu.

W poszczególnych okolicach Polski dyngusowe zwyczaje miały i mają jeszcze dzisiaj pewne odmiany, jak też różnie tłumaczone jest ich pochodzenie. Oto garść danych na ten temat, zebranych przez polskich badaczy folkloru.



Tu dziewczęta są w wyraźnej przewadze

Bardziej na mokro nie mogli jej urządzać! I co teraz będzie dalej...



Dokończenie na str. 4

ŚMIGUS DYNGUS

Dokończenie ze str. 3

W *Poznaniu*, w wielkanocny poniedziałek „młodzież płci męskiej, mężczyźni w wieku dojrzałym, a nawet częściej starcy, snuli się od rana do późnej nocy po domach i ulicach z wodą i wódkami pachnącymi we flaszkach, konwiach itp. i polewali meżatki, czyli dyngusowali. Po spólstwo ciągnęło bez żadnej ceremonii dziewczyny do rzek i fos i zanurzało je, częstokroć — gdy Wielkanoc przypada wcześniej — nie bez zaniebawienia dyngusowanej. Po ulicach wszędy było słychać gwar, śmiechy i krzyki. Nazajutrz pleć niewieścia odawała z niemiejszą wesołością odwet mężczyznom.”

We wsi *Konojad* (powiat Kościan) obławanie zaczynało się po nieszpórach. „*Hałas, rwyetes, krzyku co niemiara* — relacjonuje jeden ze świadków. — *Dziewczęta wrzeszczą i krzyczą, a w sercu rade, bo myślą, że która nie złana, nie pójdzie tego roku za mąż...*”

W powiatach *Mogilno* i *Konin* już w pierwszym dniu świąt chłopcy ustalali, ile razy która z dziewcząt podczas postu przypaliła, niedokisiła czy rozcieńczyła wodą żur itp. i wyrokowali, ile za to ma dostać kubków wody. Wyrok wykonywano nazajutrz, w poniedziałek. Która jednak z dziewcząt miała już swego kawalera, mogła za jego pomocą wykupić się od łaźni, ale ten musiał kolegom postawić wódkę lub piwo. We wtorek rewanżowały się dziewczęta oblewając parobków zimną wodą i siekając ich różgami. Oprócz tego konfiskowały im fanty — czapki, chustki, szaliki itp., które wieczorem musieli wykupywać...

Bicie różgami oprócz lania wodą stosowane też bywa na Pomorzu, głównie na ziemiach — *Dobrzyńskiej, Michałowskiej i Chełmińskiej*. Prawo do takiego dyngusu różgami miał dawniej każdy pasterz wiejski; w poniedziałek wielkanocny chodził po chałupach, prawił oracje i lał różgami, od czego wykupywano się święconkami.

Na *Śląsku* parobczacy i dziewczęta już przed świątami przygotowywali tak zwane „*baciki*” — splecione z cienkich prętów wierzbowych, by w drugim dniu świąt, jak każe tradycja, ustawić się na czatach i niespodziewanie częstować batami znajomych i nieznanomych. „*W niektórych stronach Śląska, zamiast okładania się batem wielkanocnym, biedni oblewają się wodą, bogaci zaś — winem*”.

Zwyczaj bicia wierzbowymi prętami spotyka się też na *Mazurach*, m. in. w okolicach *Giżycka*, z tym jednak, że „*baciki*” plecione są tu wraz z zielonymi listeczkami i na kilka dni wcześniej moczy się je w wodzie. Śmigus, czyli wzajemne polewanie się wodą stosowane jest niezależnie od lania różgami.

Na *Kujawach* w poniedziałek chłopcy oblewają wodą dziewczęta, a we wtorek — następuje rewanż. Chłopcy robią to ze wstępną ceremonią. Jeden wychodzi na dach, drugi zaś podaje temu u góry kolejno imiona i nazwiska dziewcząt według numerów domów. Ten na dachu ogłasza przy każdej wyrok, krzyżąc np. „*Zaprzęgaście konie, woły, bo wywieziemy fafoły — Maryński Derendówny! — a bracie na nią cztery fury piasku (do szorowania — dodaje któryś z gromady), pięć fur pyru (na wiecheć!), dwadzieścia kubków wody i mydlika (do wypłukania z gnoiska!)*” Przy ładniejszych i porządniejszych dziewczętach ten na dachu stosuje łagodniejsze wymiary kar; czasem dodaje, że taką lub inną dziewczynę można oblać wódką lub piwem, oczywiście w karczmie. A potem następuje wykonanie wyroków. Rewanż na drugi dzień jest zwykle połowiczny, chociaż nieraz i dziewczęta potrafią chłopcom porządnie napuścić za koszule lodowatej wody.

Na *Lubelszczyźnie*, szczególnie na *Powiślu*, wzajemne obławanie nazywa się śmigusem mokrym. Poważniejszy gospodarze nachodzą domy swych sąsiadów i kumów, mając u-

krytą zimną wodę w butelce, biorą za ręce dziewczęta i oblewają im palce, aby przy tym nie umoczyć odzienia. Ale po tym wstępie młodzi leją się pełnymi konwiami, a chłopcy nieradko moczą dziewczęta w beczkach i rowach. Takie obławanie powtarza się i w następnych dniach i stąd powstało przysłowie: „*Od Wielkiej Nocy do Zielonych Świątek — można się lać wodą i w piątek*”.

W *Krakowskiem* poniedziałek przeznaczony był dla mężczyzn, a następne poświęteczne dni dla kobiet. Po wsiach leją się z konwi i cebrów, moczą dziewczęta w sadzawkach, a zdarzały się wypadki, gdy się dziewczyna nie dawała, lub jej ogólnie nie lubiano, że moczo ją i w czymś gorszym niż woda.

W *Rzeszowskiem* i w *Tarnowskiem* utrzymuje się w wielu okolicach przekonanie, że śmigus wywodzi się na pamiątkę chrztu Polski, który właśnie onego czasu (w marcu) miał miejsce za *Mieszka I*.

Na *Mazowszu* dyngus ma w różnych okolicach pewne lokalne odmiany. Po wsiach koło *Warszawy* informują, że początek obchodu dyngusu lub śmigusu pochodzi dopiero od czasów *Jagielly*, który w drugi dzień świąt kazał chrzczyć gromady *Litwinów* solidnie polewając ich wodą. Stąd też zachowana tradycja musi być jak najbardziej mokrą.

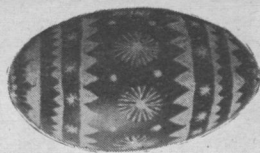
W *Łomżyńskiem* lanie wodą zaczyna dziewczęta w niedzielę — resztę dokładają chłopcom różgami. Parobcy mają prawo do oblewania dziewcząt dopiero w poniedziałek. Różeg też im nie żałują.

W okolicach *Serocka* oraz we wsiach *Pniewo* (pow. *Łomża*), *Porządzie* (pow. *Wyszków*) i *Wąsewo* (Ostrów *Maz.*) śmigus nazywany jest oblejem, natomiast dyngus oznacza wykup, za którym chodzą jedynie dzieci do swych chrzestnych rodziców, od których otrzymują pisanki.

W *Sandomierskiem*, we wsiach *Góry Wysokie*, *Łukawa*, *Sobótka*, śmigustny poniedziałek nazywany jest dniem świętego *Lejka*. Parobcy chodzą z konwiami po domach, dziewczęta zaś uciekają na strychy, gdzie mają ukryte wiadra pełne wody, którą atakują wychodzących do góry chłopców. Po obławaniu rodzice panien częstują gości świętecznym jedzeniem i napojami.

W *Kaliskiem* obchodzony jest dyngus albo dęgus suchy i mokry. Pierwszy znaczy uczestowanie gościa święconym, drugi — zlanie go wodą. Niezależnie od tego parobcy chodzą po dyngusie z kurasem. Jest to mały wózek na dwóch kółkach, pomalowany na czerwono lub żółto, na którym mają sztucznego koguta ustrojonego naturalnym pierzem. Obok niego kilku sztucznych żołnierzy i traczy, poruszanych przy pomocy sznurków. Parobcy mają ponadto ze sobą sikawkę, konwie, kije i kobiałki — zaatakowani zniecała wodą przez dziewczęta urządzają im śmigus. Sikawka idzie w ruch. Tradycja nakazuje, że parobczaka, który kieruje wózkiem, wodą lać nie wolno. Zdarza się, że taka kompania z kurasem spotka się z podobną konkurencyjną grupą. Wtedy dochodzi do generalnego lania.

Wielkanocny zwyczaj śmigusu — jak to widać z tych kilku przykładów — bogaty jest w różnorodne pomysły.



AGENCE DE VOYAGES

GRALLA

KORESPONDENT OFICJALNY ORBIS Licencja 530 A

DYREKCJA W LENS — Face à la Gare. Tél: 28-24-03 i 28-16-14

ODDZIAŁY

PARYŻ

Voyages GRALLA
48, rue Vivienne
75-PARIS 2-ème
Tél. 508-50-42

METZ

Voyages GRALLA
43-45, rue Serpenoise
57-METZ
Tél 68-24-01

BRUAY-EN-ARTOIS

Voyages GRALLA
35, rue Ch. Marlard
62-BRUAY-EN-ARTOIS
Tél. 432

oraz korespondenci terenowi

ORGANIZUJE WYJAZDY DO POLSKI W SEZONIE 1969

w każdy poniedziałek

z **PARYŻA** (Gare du Nord) oraz
z **LILLE** (przez Aulnoy)
do **POZNANIA** i **WARSZAWY**
(jedna noc w podróży)

W każdą sobotę

z **PARYŻA** (Gare de l'Est) oraz
z **METZ** (w niedzielę rano)
do **WROCŁAWIA** i **KRAKOWA** oraz
POZNANIA i **WARSZAWY**

3 LIPCA	Pociąg specjalny LENS-POZNAŃ	1 miesiąc 2 miesiące	powrót „	3 sierpnia 31 sierpnia
31 LIPCA	Pociąg specjalny LENS-POZNAŃ	1 miesiąc 2 miesiące	powrót „	31 sierpnia 28 września

Z A Ł A T W I A:

- przekazy pieniężne do Polski oraz paczki bezcłowe;
- sprowadzanie krewnych z Polski do Francji na urlop;
- tłumaczenia urzędowe oraz pełnomocnictwa notarialne;
- bilety kolejowe, lotnicze, morskie, ze zniżkami urlopowymi, rodzinnymi i turystycznymi.

W Belgii na Centrum Zdrowia Dziecka

Z działalności Związku Patriotów Polskich w Limburgii

Związek Patriotów Polskich odbył swoje kolejne zebranie w Świetlicy Ludowej w Zwartbergu, którego tematem było przygotowanie do obchodów 25-lecia Polski Ludowej i wyzwolenia Belgii. Zorganizowanie uroczystej akademii z tej okazji przewidziano na dzień 21 czerwca.

Związek Patriotów Polskich wystąpił z inicjatywą zbiórki na budowę Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Do akcji tej z miejsca dołączyły się Koła Związku Polaków oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego w

Zwartbergu. Dlatego też akcja zbiórki na terenie Limburgii będzie prowadzona wspólnie przez trzy organizacje. Postanowiono również zwrócić się z apelem na rzecz zbiórki do polskich kolonii w Beringen i Eisden. Wspomniana wyżej impreza zostanie zorganizowana wspólnie przez polskie organizacje. Dochód z projektowanej zabawy tanecznej będzie przeznaczony na Centrum Zdrowia Dziecka.

W czasie zebrania przeprowadzono pierwszą zbiórke pieniędzy, która przyniosła 2.140 fr. b. Ofiarodawcami byli: Związek Polaków Oddział Zwartberg — 500 fr. b.; Związek Patriotów Polskich Oddział Genk — 500; Karol Baszak — 100, Wacław Dębowski — 100, Raimond Gruic — 100, Paweł Kinach — 100, Antoni Malinowski — 100, Bronisław Piechota — 200, Jan Mańkowski — 100, Bronisław Stala — 100, Edmund Zieliński — 100 i Jan Zieliński — 140 fr. b. (H. L.)

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

BANK PKO S.A.

23, rue Taitbout, PARIS IX-ème



Z satysfakcją, którą można łatwo zrozumieć, ogląda p. Wasilowski swoje wino. Nielatwe były lata, które przeżył, zanim został dzierżawcą winnicy i producentem dobrego wina

WINIARZ Z BEAUJOLAIS

SŁYNNE jest w świecie wino regionu Beaujolais. Rodzi się ono na słonecznych wzgórzach na północ od Lyonu i konkuruje z pobliskim burgundem. Morgon jest jednym z najbardziej znanych i jednym z najlepszych odmian Beaujolais.

Trzeba mieć jednak dużo wytrwałości i dużo szczęścia, żeby zostać plantatorem winnej latorośli w tych okolicach i żeby zobaczyć własne nazwisko na etykietach: **Morgon-Marius Wasilowski**.

Rodak nasz, który dopiął tego celu, pochodzi spod Mławy. Do Francji przyjechał w r. 1931 i zaczął pracować w północnej Francji, koło granicy belgijskiej, najpierw na fermie, potem przy budowie fortyfikacji. W sześć lat później przyjechała z Polski p. Wasilowska. Był już rok 1937...

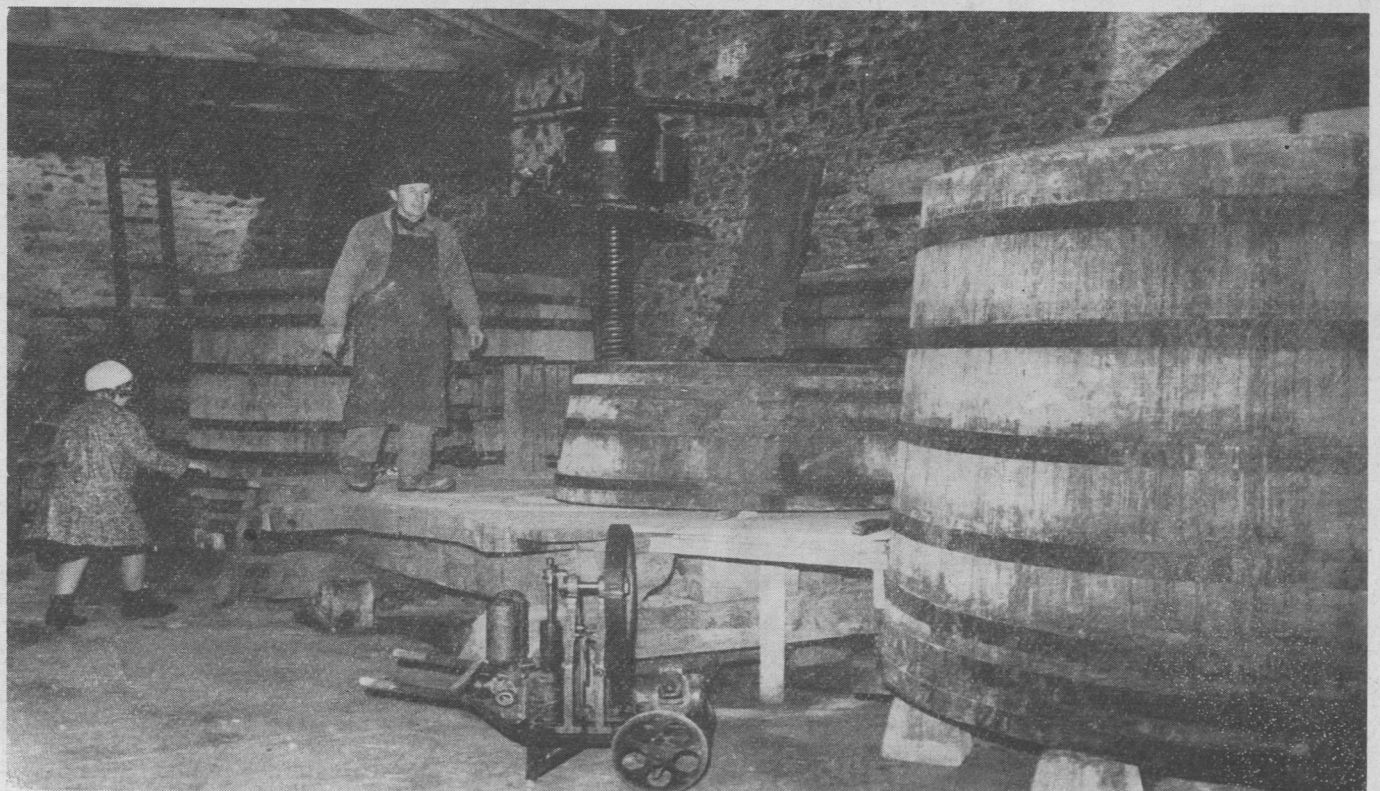
Gdy wybuchła wojna, p. Wasilowski poszedł do wojska. Przez parę lat był w armii francuskiej w Afryce Północnej. Gdy wrócił do Francji w r. 1942 i wysiadł z pociągu w Belleville, dosłownie nie wiedział, w którą stronę się udać. Nie znał nikogo, nie miał pracy, nie miał pieniędzy. Przypadek zrządził, że został w Beaujolais. Początkowo zaczął pracować na fermie, potem w winnicy, wreszcie wydzierżawił winnicę w Villié-Morgon i zaczął sam produkować wino. Obecnie mija 9 lat, odkąd jest na tym samym miejscu.

Dużą, pięciohektarową winnicę obrabia p. Wasilowski wraz ze swoją żoną. Tylko w okresie winobrania angażować musi do pracy większą liczbę ludzi. Wino jego jest dziś znane i cenione. Po długich latach ciężkiej pracy osiągnął wyniki, których pozazdrościć mu może niejeden winiarz z Beaujolais.



Pracuje się tutaj inaczej niż np. w Burgundii czy Szampanii. Mało ludzi używa traktorów, w winnicach spotyka się konie

Service agricole ogłasza w prasie i przez radio, że potrzebni są pracownicy do winobrania. Zgłaszają się zawsze chętni. Przyjeżdżają tu też kupcy, którzy interesują się jakością „Morgon-Marius Wasilowski”



Każdy mieści 8—9 tysięcy litrów. Tłoczy się w niej winogrona prasą elektryczną. Wino musi mieć w okresie fermentacji około 20°. Gdy jest zimno, trzeba je przepompowywać do pieca i podgrzewać

Winnica p. Wasilowskiego ma 6 lat. Krzaki winnej latorośli najlepsze są właśnie w tym wieku, około 10 lat. Ale żyją one znacznie dłużej, często nawet do 40—50 lat, i nadal dostarczają cennego owocu



„Pan Wołodyjowski” (Messire Wołodyjowski), le dernier-né de la cinématographie polonaise, est le film polonais le plus long et le plus grandiose dans toute son histoire. Les producteurs sont convaincus que le record de 22 millions de spectateurs, détenus jusqu'ici par les „Krzyżacy” (les Chevaliers Teutoniques), sera facilement battu. Le film a coûté la somme de 50 millions de zlotys (ce qui fait environ cinq fois plus qu'un film normal). En couleurs, panoramique, joué par des acteurs et des vedettes de l'écran à la réputation bien établie, „Pan Wołodyjowski” sera certainement un succès à l'échelle mondiale. Les producteurs du cinéma polonais se penchent maintenant sur les deux autres parties de la célèbre Trilogie de Sienkiewicz, dont „Pan Wołodyjowski” en est le dernier volet. Si on a commencé par la fin, c'est parce que ce roman est le plus „cinégénique”; les expériences acquises au cours de sa réalisation permettront de mieux tourner le reste. Espérons que nos lecteurs auront d'ici peu la possibilité de voir les aventures du célèbre d'Artagnan polonais sur les écrans de leurs cinémas.



„Mały Rycerz” Michał Jerzy Wołodyjowski, pierwsza szabla Rzeczypospolitej, w interpretacji Tadeusza Łomnickiego

PAN WOŁODYJOWSKI



Mariusz Dmochowski jako hetman Sobieski w scenie pogrzebu pana Michała Rycerski Ketling of Elgin (Jan Nowicki) i Krzysia (Barbara Brylska)



Największy film polskiej kinematografii wszedł właśnie na ekrany, budząc entuzjazm i kolosalne zainteresowanie. Pracownicy rozpowszechniania filmów pewni są, że padnie rekord powodzenia, ustanowiony przed kilku laty przez „Krzyżaków”: 22 miliony widzów. W czasie nakręcania filmu pisaliśmy o „Panu Wołodyjowskim” kilkakrotnie. Producenci, którzy na jego realizację wydali ponad 50 milionów złotych, spokojnie oczekują zysków, które na pewno wielokrotnie przekroczą koszty. Przedsięwzięcie zrodzone z konkretnego społecznego zamówienia zakończyło się pełny sukcesem.

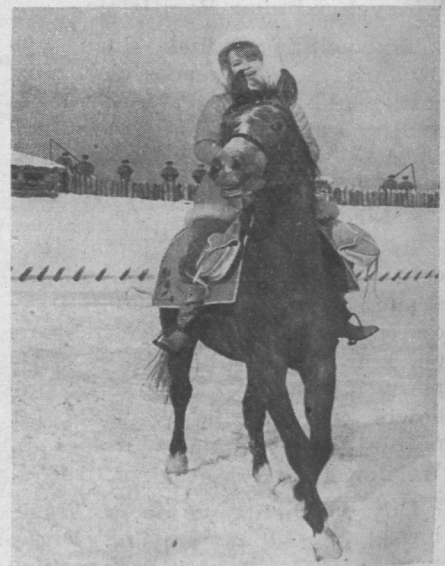
O ekranizację Trylogii, najpopularniejszej polskiej powieści wszystkich czasów, dopominali się widzowie od lat. Sienkiewiczza w ogóle chętnie oglądamy na ekranie. Było już ok. 20 filmów według różnych dzieł naszego laureata Nobla, w tym 6 wersji samego „Quo vadis”. Realizacja „Krzyżaków” w 1960 r. zapoczątkowała w Polsce erę „superprodukcji”, które dla propagandy polskiego kina w świecie uczyniły równie wiele, jak cała słynna „polska szkoła filmowa” w końcu lat pięćdziesiątych.

Ale dlaczego zaczęto od końca?

Przyczyn szukać należy zarówno w dziedzinie produkcyjnej, jak i ideowo-artystycznej.

Ze wszystkich trzech części Trylogii — „Pan Wołodyjowski” jest z pewnością dziełem najbardziej zwartym.

Na realizację „Potopu” nie było nas jeszcze stać. Ekranizacja 6-tomowej powieści, z której właściwie nie można było nic wyrzucić, nie narażając się na oburzenie widzów — wymagałaby filmu rozmiarów „Wojny i pokoju” Sergiusza Bondarczuka, który — jak wiadomo — uchodzi



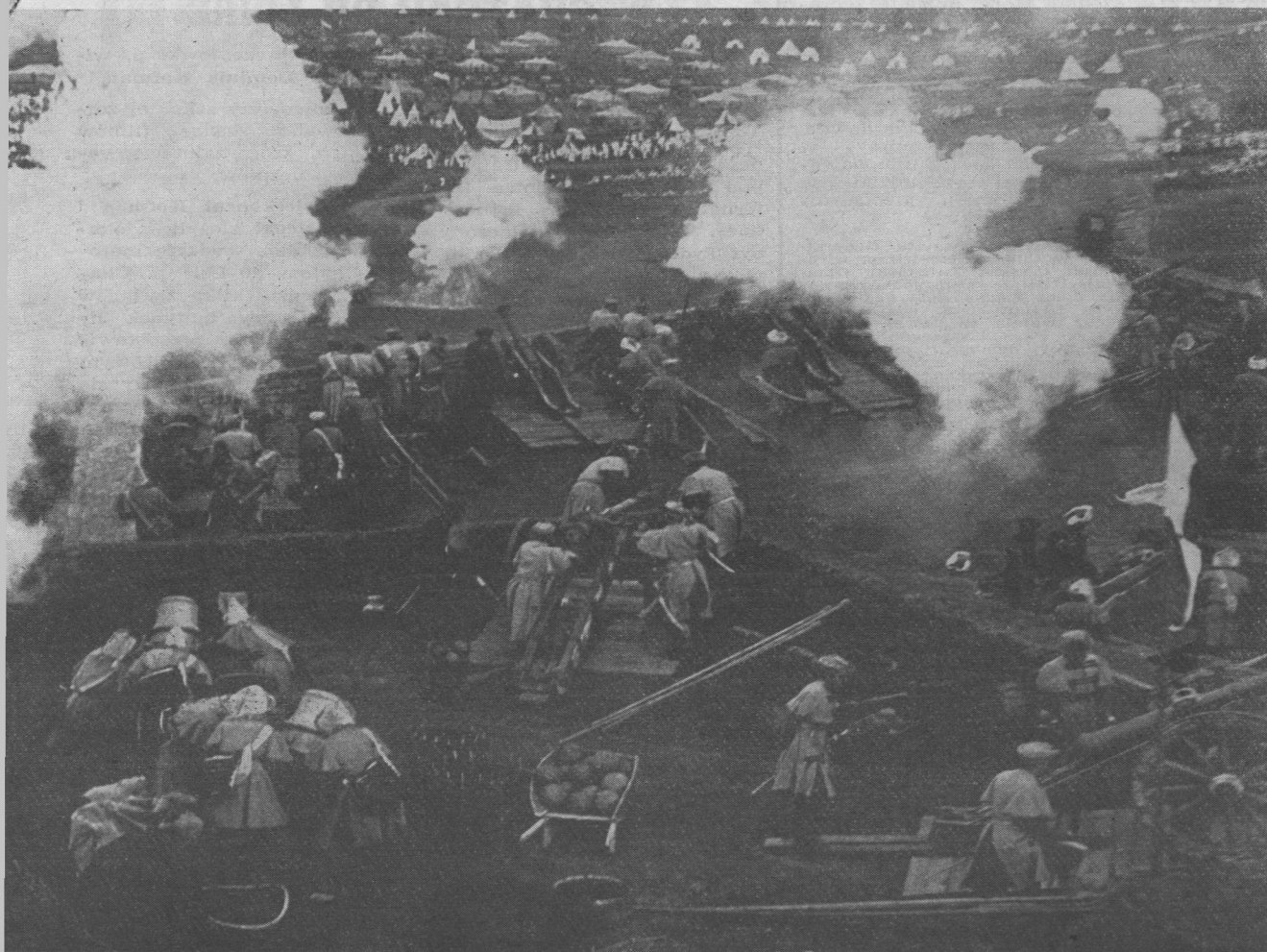
Magda Zawadzka — świetna w roli Basi

za najkosztowniejszy film w całej historii kina.

Akcja „Pana Wołodyjowskiego” ogranicza się do jednego zwartego wątku zasadniczego, rozwijającego się zgodnie z wymogami dramaturgii filmowej. Cięcia poczyniono niewielkie, z żadnej sceny bliskiej sercu wielbicieli Sienkiewicza rezygnować nie trzeba było. Była też sprawa wątku romansowego. Zarówno w „Ogniem i mieczem”, jak i w „Potopie”, romans polega głównie na tym, że się kochankowie nie widują. Skrzetuski szuka Heleny od połowy pierwszego do końca trzeciego tomu. Kmicic szuka Oleńki jeszcze dłużej: przez całych 6 tomów! I tylko pan Michał, aczkolwiek jemu nie poskąpił autor nie kończącego się romansu z Anusią Borzobohatą, w końcu na ślubnym kobiercu stanął i do małżeńskiej łożnicy wstąpił. I jest ten piękny romans w filmie chwilami zabawny, częściej wzruszający...



Bohaterska, choć zakończona śmiercią Wołodyjowskiego, obrona Kamieńca pozwoliła Sobieskiemu zebrać siły. W rok później przyszło zwycięstwo pod Chocimiem

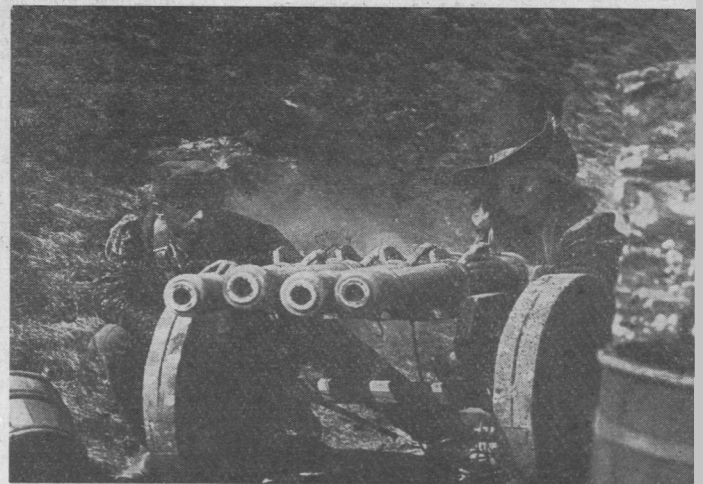


Oblężenie i szturm Kamieńca to największe sceny batalistyczne jakie kiedykolwiek zrealizowano w Polsce



Basia (Magda Zawadzka), Zagłoba (Mieczysław Pawlikowski) i pan Snitko (Tadeusz Schmidt)

Działania na murach Kamieńca odpierają szturm



W końcu zdecydowała sprawa bohatera niesłuchanie ważna przy tego rodzaju filmach. Był to słaby punkt wszystkich dotychczasowych polskich „gigantów” filmowych. Widzowie domagali się bohatera, którego mogliby pokochać, akceptować, uwielbiać. Kto się do tej roli nadawał najbardziej z plejady Sienkiewiczowskich postaci? Szlachetny, nieszczerliwy i śmiertelnie poważny Skrzetuski — chyba najmniej. Kmicie? Oczywiście! Może dla większości zawiadziaki pan Andrzej był nawet narzucającym się przykładem filmowego bohatera. Jednak Wołodyjowski ma zalety, jakich Kmicicowi brak. Choć mniej przystojny, choć nie tak efektowny — jest przecież lepszym od niego żołnierzem (wie o tym najlepiej Kmicicowa głowa...), a poza tym jest Obywatelem. Kiedy pozabawiony wszelkiego oparcia w warcholskiej szlachcie hetman Sobieski rzuca go na wschodnie kresy Rzeczypospolitej, by jej własną pierśią bronił przed turec-

kim niebezpieczeństwem — pan Michał wypełnia to zadanie jak przystało na wielkiego stratega i męża stanu. Łatwo było podbić serca widzów postacią błyszczącego młodzika. Twórcy „Pana Wołodyjowskiego” postanowili tego dokonać drogą trudniejszą. Ich bohater nie jest już pierwszej młodości. Nie urzeka męską urodą, nie imponuje siłą. Dlatego do tej roli potrzebny był wielki aktor, nie krasnolicy bawidamek. Kiedy reż. Jerzy Hoffman ogłosił, komu powierzył rolę pana Michała — w prasie i w dyskusjach prywatnych zawrzało. Jak to? Tadeusz Łomnicki? Chłuba polskiej sceny? Aktor najtrudniejszego repertuaru, aktor pierwszych scen polskich? W filmowym komiksie przygodowym?

Zaciążyły tu na opiniach utarte, schematyczne sądy. Właśnie po to, by „Pan Wołodyjowski” nie był filmowym komiksem — potrzebny był aktor tej miary. Najwyższej! Nie potrafię, nie zdolam już sobie wyobrazić pana

Michała o rysach innych niż rysy twarzy Łomnickiego. Po obejrzeniu setek kostiumowych filmów przygodowych z kilkunastu krajów świata nie sądziłem nigdy, by bohater takiego filmu mógł przejąć mnie takim uwielbieniem. Jest w tym przejmująca magia wielkiego aktorstwa.

Przy takim przodowniku — cały zespół osiągnął nie spotykane wyżyny. Magda Zawadzka w roli Basi budzi wzruszenia, do których mężczyzna nie zawsze mógłby się przyznać swej ślubnej małżonce. Mieczysław Pawlikowski herbu Wczele jest z pewnością bliższym krewniakiem Onufrego Zagłoby, niż był nim Roch Kowalski. Mariusz Dmochowski jest w roli hetmana Sobieskiego równie imponujący, a na pewno sympatyczniejszy, niż w roli Augusta II w „Hrabinie Cosel”. Daniel Olbrychski, który jednocześnie grał Szweda w „Hrabinie Cosel” i Tatarą w „Panu Wołodyjowskim”, mógłby — sądzę — grać jeszcze Indianina Winnetou

lub Achillesa — z równym dla sprawy powodzeniem, jest absolutnie wszechstronny. Innych nie zliczę, jest ich legion, cudownych, znanych, rozpoznawanych na pierwszy rzut oka...

Seans „Pana Wołodyjowskiego” przeżywa się jak sen. Nie zauważa się biegu czasu, sto pięćdziesiąt minut mija nie wiadomo kiedy. Nie ma tu żadnych „wydumek”, żadnych „interpretacji”, żadnego „poprawiania”. Jest Sienkiewiczowski opis, Sienkiewiczowskie słowo, są Sienkiewiczowskie postaci. Jerzy Lutowski pisząc scenariusz tego filmu dokonał rzeczy wielkiej: dał nam naszą ukochaną powieść opowiedzianą językiem filmu. Skróty są niemal niedostrzegalne, orientujemy się w opuszczeniu jakiejś partii materiału, tak jak byśmy niecierpliwie przeczuli kilka mniej ciekawych stron odczytując „Pana Wołodyjowskiego” na nowo. Ten film można by oglądać bez końca...

Oskar SOBAŃSKI

. PRZED 25-LECIEM . PRZED 25-LECIEM . PRZED 25-LECIEM .

WYSTAWY O POLSCE W PÓŁNOCNEJ FRANCJI

W związku ze zbliżającą się 25-rocznicą Polski Ludowej — Stowarzyszenia „France-Pologne” i „Odra-Nysa” rozpoczęły w różnych miejscowościach organizowanie interesujących imprez. Celem ich jest uczczenie jubileuszu, informacja o dzisiejszej Polsce i

zacieśnienie tradycyjnej przyjaźni, łączącej od wieków Polskę z Francją.

W trzech ośrodkach północnej Francji odbywały się ostatnio wystawy, które wzbudziły wśród miejscowej ludności duże zainteresowanie.

HERSIN-COUPIGNY (PAS-DE-CALAIS)

Deputowany — mer Hersin-Coupigny p. Andrieux, konsul generalny PRL w Lille p. Tadeusz Wegner i około stu innych osób wzięło udział w otwarciu wystawy o polskim przemyśle węglowym oraz o turystyce do Polski. Wyrazem sukcesu wystawy było przybycie na wernisaż ludzi reprezentujących wszystkie instytucje, stowarzyszenia i organizacje miejscowe, różne ugrupowania polityczne i licznej miejscowej ludności. Młodzież szkolna z Hersin przychodziła na wystawę nie tylko indywidualnie, ale wszystkie cztery szkoły zorganizowały zwiedzanie wspólne i przyprowadziły na wystawę grupami wszystkich swych uczniów.

Otwarcie wystawy dało miłą okazję prezesowi „France-Pologne” w departamencie Pas-de-Calais, p. René Laly, p. konsulowi Wegnerowi i merowi Hersin-Coupigny p. Andrieux do serdecznych wypowiedzi na temat przyjaźni polsko-francuskiej i rozszerzającej się stale współpracy pomiędzy obu krajami.

BAVAY (NORD)

Liczące 10 tysięcy mieszkańców, historyczne miasto Bavay, dumne ze swych zabytków — wykopalisk z okresu podboju Galii przez Rzymian — zalicza do swych nowszych tradycji przyjaźń z Polską. Łączność tego ośrodka z Polską poprzez organizowane imprezy, wystawy, spotkania trwa już od dawna.

Ostatnio Stowarzyszenie „France-Pologne” zorganizowało w Bavay wystawę na temat turystyki do Polski. P. Roger Legrand, przewodniczący Stowarzyszenia w departamencie Nord, i p. Henryk Bala, członek Rady Krajowej „France-Pologne”, przedstawili zebranej publiczności wystawę. Wśród licznych oso-

bistości, które wzięły udział w uroczystym otwarciu wystawy, znajdował się p. konsul Ryszard Korczewski z Lille, deputowany — mer Bavay p. Voisin wraz z trzema zastępcami, radni miejscy, profesorowie i nauczyciele, przedstawiciele wolnych zawodów i dużo młodzieży szkolnej.

Zwracając się do zebranych na wernisażu p. konsul Korczewski nawiązał do zbliżającej się rocznicy 25-lecia Polski Ludowej i serdecznie zachęcił obecnych, aby w tym jubileuszowym roku odwiedzili Polskę i stwierdzili naocznie, jakie są jej osiągnięcia w okresie minionego ćwierćwiecza.

P. deputowany — mer Voisin podziękował konsulowi PRL za odwiedzenie Bavay i wzięcie udziału w uroczystości. Stwierdził, że w Bavay, wiernym tradycji przyjaźni polsko-francuskiej, drzwi dla polskich gości są zawsze szeroko otwarte.

Lampka wina zakończyła tę uroczystość. W ciągu następnych dni wystawa była licznie odwiedzana zarówno przez miejscowych, jak i ludzi z dalszych okolic. Uwagę zwracała szczególnie obecność młodzieży szkolnej, która pod opieką swych nauczycieli zbiorowo przybyła na wystawę i z zainteresowaniem oglądała ekspozycję zapoznającą ją z Polską.

Bardzo licznie odwiedzili wystawę również b. kombatanci zrzeszeni w Association Nationale des Anciens Combattants et Résistants wraz z prezesem tej organizacji na okręg Aulnoy p. William.

AIRE-SUR-LA LYS (PAS-DE-CALAIS)

„La Pologne et ses terres occidentales” — taki był temat wystawy zorganizowanej przez Stowarzyszenie Obrony Granic na Odrze i Nysie dla mieszkańców Aire-sur-La Lys. Odbyła się ona w sali zabytkowego ratusza tego malowniczego miasteczka.

Patronat nad wystawą objął radca generalny i mer Aire-sur-La-Lys p. Paul Blondel oraz konsul generalny PRL w Lille p. Tadeusz Wegner.

Po przemówieniu wstępnym p. Stanisława Kubiaka, członka Rady Krajowej Stowarzyszenia, który udzielił zebranym wyjaśnień na temat wystawy i podkreślił, jakie znaczenie mają Ziemie Zachodnie dla Polski, zabrał głos p. mer Blondel. Dla Polski żywi p. Blondel gorące uczucia przyjaźni. Zna ją od dawna, jeszcze sprzed wojny, w pierwszych latach niepodległości Polski brał udział w pracach komisji plebiscytowej w Gdańsku.

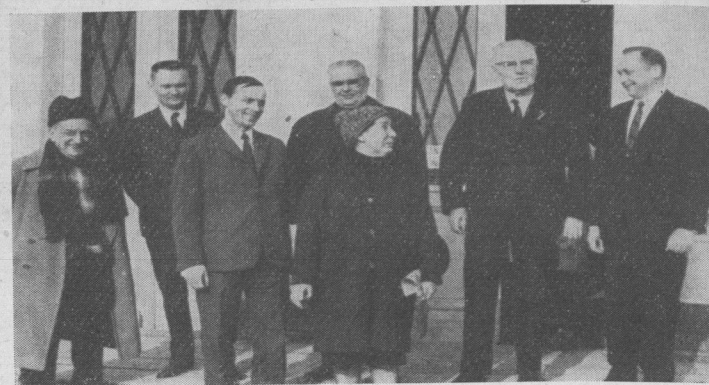
W imieniu Konsulatu Generalnego w Lille przemówił p. wicekonsul Czesław Turzański. Omawiając dzieje zagospodarowania przez Polskę ziem nad Odrą, Nysą i Bałtykiem, odzyskanych po II wojnie światowej, p. Turzański zwrócił szczególną uwagę na sprawy demograficzne, na rozwój szkolnictwa wyższego na Ziemach Odzyskanych i dynamiczny wzrost wielkich centrów tych ziem, przede wszystkim Wrocławia.

Wernisaż, w którym uczestniczyło około 60 osób — nauczycielstwo ze szkół państwowych i z Collège Catholique, studenci z Lille, lekarze, urzędnicy, robotnicy — zakończył się cocktailem à la mode polonaise.

WYSTAWA O SKARBACH ARTYSTYCZNYCH KRAKOWA

W salach ratusza Narbonne (Aude) odbywała się ostatnio wystawa o Krakowie — o tradycjach historycznych i skarbach sztuki dawnej stolicy Polski. Tytuł wystawy brzmiał: „Cracovie, joyau de la Pologne”.

W uroczystości otwarcia wystawy wzięło udział wiele osób, m.in.: p. Hirtz — podprefekt, dr Arcis — zastępca mera reprezentują-



Po wizycie na merostwie. Od prawej: pp. wicekonsul Kofman, mer Chabin, pani Bosquet, p. Rigaud, zastępca mera Michel, lektor Moćko, prof. Małecki, sekretarz gen. CJEE Gengis Khan

TYDZIEŃ KULTURY POLSKIEJ W CHATEAU-DU-LOIRE

W Château-du-Loire, w departamencie Sarthe, odbywała się ostatnio międzynarodowa wystawa zorganizowana w miejscowym Maison des Jeunes et de la Culture pod patronatem Centre International d'Etudes Esthétiques. Z wystawą połączony był Tydzień Kultury Polskiej, w ramach którego zorganizowano szereg ciekawych imprez.

Pierwszą z nich stanowił odczyt prof. Jana Małeckiego na temat rozwoju szkolnictwa w Polsce. Odczyt przyjęty był gorącymi okłaskami przez licznie zebraną publiczność. Po odczycie wyświetlony został film „Homo Varsoviensis”. Na obu imprezach obecnych było wiele osób. Konsulat Generalny PRL w

Paryżu reprezentował p. wicekonsul Dominik Kofman.

Dla młodzieży szkolnej zorganizowano seanse filmów polskich, które zainteresowały żywo uczniów.

P.P. wicekonsul Kofman i prof. Małecki złożyli z okazji „Tygodnia” wizytę merowi Château-du-Loire p. Chabin, zwiedzili kilka zakładów pracy i nowy budynek liceum. Spotkania przedstawicieli Polski z miejscowym społeczeństwem odbywały się w bardzo miłej atmosferze i przeciągnęły się do późnych godzin wieczornych.

Dodać warto, że miasto udekorowane było w tych dniach transparentami informującymi o polskich imprezach oraz polskimi flagami.

cy deputowanego-mera Narbonne, p. Stefan Pietrzak — wicekonsul reprezentujący Konsulat Generalny PRL w Lyonie, p. Aleksy Krakowiak — sekretarz generalny Stowarzyszenia Obrony Granic na Odrze i Nysie, generał Baltmiger — przewodniczący komisji archeologicznej, kapitan Vidal — komendant żandarmerii, kapitan Carbonne — reprezentant dowódcy garnizonu, p. Coppin — kierownik urzędu skarbowego, major Rioufol — wiceprzewodniczący Association des Anciens Combattants et Prisonniers de Guerre, p. Viguiet — dyrektor muzeów, pp. Vuillerment i Durand dyrektorzy banków, pp. Pechu i Roujon — dyrektorzy szkół, przedstawiciele urzędów, instytucji, związków zawodowych, partii politycznych i organizacji społecznych.

Po przemówieniu powitalnym dr Arcis, zabrał głos p. Aleksy Krakowiak, sekretarz generalny „Odry-Nysy”, która wraz z zarządem miejskim Narbonne zorganizowała wystawę. Wskazując na atrakcyjność ekspozycji, dzięki której mieszkańcy Narbonne

mogą poznać urok najpiękniejszego miasta polskiego, p. Krakowiak zwrócił jednocześnie uwagę na pewne podobieństwo dziejów obu miast.

Podczas cocktailu, wydanego przez p. senatora Souquet, dyrektora muzeów p. Viguiet i kierownika urzędu skarbowego p. Coppin w reprezentacyjnej Sali Konsulów, dr Arcis wygłosił przemówienie, gorąco oklaskiwane przez zebranych, w którym wyraził sympatię dla Polski, kraju zaprzyjaźnionego z Francją. Mówca podkreślił, że Francuzi solidaryzują się z działalnością Stowarzyszenia „Odra-Nysa”, uważając obecną granicę zachodnią Polski za słuszną.

P. wicekonsul Pietrzak podziękował serdecznie władzom Narbonne za miłe przyjęcie i pomoc w zorganizowaniu wystawy Stowarzyszenia „Odra-Nysa”, do którego działalności Polska przywiązuje duże znaczenie. Na zakończenie swego przemówienia p. wicekonsul wznosił toast: Niech żyje Francja, niech żyje Polska, niech żyje przyjaźń polsko-francuska!

W ciągu następnych dni wystawa w ratuszu Narbonne była licznie odwiedzana. Po obejrzeniu ekspozycji zwiedzający zaopatrywali się w kiosku sprzedający w wyroby przemysłu ludowego i pamiątki z Polski.

Otwarcie wystawy o Krakowie miało charakter bardzo serdecznej manifestacji przyjaźni łączącej od wieków oba kraje, Polskę i Francję



W pięćdziesiątą rocznicę Powstania Wielkopolskiego 1918—1919 — jak to informowaliśmy — zorganizowane zostały w Poznaniu wielkie uroczystości. Wśród licznych uczestników, którzy przybyli na te uroczystości, obecna była delegacja Polonii francuskiej.

W skład delegacji wchodził: p. Kazimierz Kowalewski z Waziers i p. Czesław Morzyński z Auby. Reprezentanci Polonii francuskiej nie pojechali na uroczystości poznańskie z pustymi rękami: zawieźli do Polski sztandar dawnego Związku Powstańców Wielkopolskich we Francji i Belgii i ofiarowali go w darze Muzeum Wojska Polskiego w Poznaniu.

DELEGACI POLONII FRANCUSKIEJ NA UROCZYSTOŚCIACH POWSTAŃCZYCH W POZNANIU

Z LICZNEGO grona około półtora tysiąca uczestników Powstania Wielkopolskiego, którzy mieszkali na terenie Francji i Belgii, pozostało obecnie jeszcze 67. Pan Kazimierz Kowalewski z Waziers jest jednym z tych, którzy bardzo aktywnie działali w szeregach Związku zrzeszającego b. powstańców. Przed 10 laty brał on udział w uroczystościach w Poznaniu, które upamiętniły 40 rocznicę wybuchu Powstania, w uroczystościach w Lille zorganizowanych dla uczczenia tej rocznicy i podczas których odznaczony został wraz z p. Czesławem Morzyńskim, p. Franciszkiem Zalewskim z Marles-les-Mines i wieloma innymi Wielkopolskim Krzyżem Powstańcym.

— Związek nasz był dużą i aktywną organizacją — opowiada p. Kowalewski. — Pierwszym jego prezesem był Ludwik Zak z Barlin, sierżant, w czasie Powstania dowódca kompanii w Rakoniewicach. Potem miejsce jego zajął Walery Budzyński z Marles-les-Mines. Na uroczystości 40-lecia Powstania jeździłem do Poznania z Franciszkiem Pachurką, prezesem wielu miejscowych organizacji, który, niestety, nie dożył pięćdziesiątej rocznicy Powstania. Na tegoroczne uroczystości jeździliśmy z p. Czesławem Morzyńskim.

Po przybyciu do Poznania powitani zostaliśmy przez delegację Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Ponieważ pociąg spóźnił się, delegacja wychodziła dwa razy na dworzec, aby nas spotkać. Zajęto się nami bardzo troskliwie. Zakwaterowani zostaliśmy w znakomitym hotelu „Merkury”, wieczór wigilijny spędziliśmy naprawdę po polsku, rodzinnie, u p. Henryka Mazura, prezesa poznańskiego ZBoWiD-u.

Bardzo wzruszające było dla mnie spotkanie z dawnymi kolegami z Powstania: z Władysławem Mazurkiem z Jarocina, z Józefem Dostatnim, Antonim Matuskiewiczem z Krobi. Spośród starszych, którzy walczyli w 1918—1919 roku, żyje już niewiele. Nie spotkałem ani jednego żołnierza z naszej kompanii, dowiedziałem się również, że nie żyje nasz dowódca.

— Od początku, po przybyciu do Poznania otoczeni zostaliśmy atmosferą wspomnień — mówi p. Czesław Morzyński. — W hotelu „Merkury” spotkaliśmy znajomych z dawnych lat, repatriantów z Auby. Na zjeździe urządzono konkurs na wspomnienie i podczas gdy uczestnicy opowiadali swoje przeżycia w okresie Powstania, przypominały się nam wszystkie tamte lata.

Zasadniczymi momentami uroczystości poznańskich były: wmurowanie aktu erekcyjnego pod DOM WETERANA NA SZELAGU, składanie wieniec pod pomnikiem Powstańców Wielkopolskich, na Cytaeli, w innych miejscach historycznych, otwarcie wystawy o Powstaniu na Zamku, spotkania b. powstańców ze społeczeństwem Poznania, uroczyste akademie w halach Zakładów Cegielnianych, w której wzięło udział kilka tysięcy ludzi, w tym 850 b. powstańców.

— Spotkałem kilku dawnych kolegów z Powstania — dodaje p. Morzyński. — Zaprosili mnie na uroczystość odsłonięcia pomnika chwały i męczeństwa w Witkowie, na akademie ku czci Powstania w Gnieźnie i na inne uroczystości.

P. Morzyński, wnuk powstańca z 1863 r., p. Marcina Choryana, brał udział nie tylko w walkach o wyzwolenie Wielkopolski w latach 1918—1919, ale walczył również w 1940 r. pod Dieuze, gdzie dostał się do niewoli. Teraz jednak wspomina przede wszystkim Powstanie Wielkopolskie.

— Opowiadaliśmy sobie z dawnymi kolegami, jak rozbrajaliśmy Niemców w Poznaniu. Odnalazłem Seweryna Szeszyckiego, Kazimierza Gazińskiego, Leona Wysockiego — to byli moi najlepsi koledzy. Mówiliśmy sobie, że gdyby nie powstrzymywano nas, gdyby legionistom z Kongresówki wolno było przechodzić do nas, do Powstania Wielkopolskiego, mogliśmy się w 1919 r. posunąć dużo dalej.

Gdy Niemcy przyszli w 1939 r. do Polski, mordowali dawnych powstańców, mieli przygotowane listy nazwisk. W Poznaniu wysadzili pomnik wzniesiony ku czci Powstania.



Pan Kowalewski przywiózł z uroczystości poznańskich czapkę powstańczą, taką, jaką nosił podczas walk o wyzwolenie Wielkopolski przed 50 laty, i pamiątkowy talerz



Sztandar Związku Powstańców Wielkopolskich we Francji przechowywano w latach okupacji państwo Zalewscy z Marles-les-Mines (na zdjęciu), a później p. Budzyński

Pan Kowalewski i państwo Morzyńscy włączyli do pamiątek rodzinnych przywieziony z Poznania afisz wydany na 50-lecie walk o Wielkopolskę. Na stole czapki powstańcze: stara z lat walki i nowa z białoczerwoną odznaką



Pamiątkowy sztandar uczestników Powstania Wielkopolskiego we Francji, przekazany Muzeum Wojska Polskiego w Poznaniu. Obok sztandaru pan Palczewski, w głębi z lewej pan Król i inni uczestnicy walk wyzwoleniczych

— Gdy przyjechaliśmy do Poznania, ofiarowano nam czapki-rogaływki uszyte na wzór tych, które nosiliśmy podczas Powstania — mówi p. Kowalewski. — W Poznaniu i w całej Polsce odbywały się uroczystości, dzieci wręczały upominki powstańcom, którzy byli chorzy i w czasie obchodów leżeli w szpitalu. W Poznaniu dzieci przypinały dawnym powstańcom białoczerwone kokardy, takie same, jakie nosiliśmy w 1918 r. na mundurach niemieckich.

Przyjemnie było nam stwierdzić, że pamięć o walkach powstańców wielkopolskich żyje w Polsce ciągle. Nie zapomina się o ofierze życia, które złożyli liczni nasi koledzy w latach 1918—1919, aby Wielkopolska była wolna.

SZTANDAR ZWIĄZKOWY Z MARLES W POZNAŃSKIM MUZEUM

S EKRETARZEM okręgowym i prezesem Koła w Marles-les-Mines Związku b. Powstańców Wielkopolskich we Francji był przez wiele lat p. Franciszek Zalewski. Na parę lat przed wojną Związek otrzymał sztandar, nad którym opiekę powierzono p. Zalewskiemu. Po akademiach, po uroczystościach, na które delegowano sztandarowego, p. Szczepana Palczewskiego, wracał sztandar do Marles i przechowywany był w domu p. Zalewskiego.

Opieka ta stała się bardzo trudna i niebezpieczna w czasie wojny. Okupant niemiecki karał surowo wszystkich, którzy starali się zachować pamiątki z lat walki z germańskim zaborcą. P. Zalewski miał u siebie i w archiwum Związku i sztandar przez dłuższy czas. Potem, dla bezpieczeństwa sztandaru, o istnieniu którego wiadomości mogły dotrzeć do Niemców, przeniesiono go do domu p. Budzyńskiego. Archiwum pozostało przez cały czas u pp. Zalewskich.

— Były to straszne lata — wspominają pp. Zalewscy. Syn nasz był w Anglii, w I Polskiej Dywizji Pancerniej, córka i my zaangażowani byliśmy w konspiracji. Łucja pełniła funkcję łączniczki POWN i przewoziła meldunki o budowanych przez Niemców wyrzutniach rakietowych V-1. Dowiedzieliśmy się, że gestapo było już na tropie naszej organizacji i gdyby wojna nie skończyła się w 1945 roku, nastąpiłyby aresztowania.

Dokończenie na str. 14



Aleksander Grobicki

Aleksander Grobicki w rewelacyjnym cyklu reportaży „Diamenty i aligatory” zapoznaje Czytelników z jednym z nielicznych już dziś prawdziwie egzotycznym krajem, Gujaną Brytyjską, jego dziką przyrodą, malowniczymi ludźmi i ciekawymi zwyczajami. Autor, były żołnierz II wojny, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, dziennikarz, literat i podróżnik przemierzył piechotą przez dżungle Gujany setki kilometrów, szukał w nich szczęścia jak inni, spotykając tu obywateli różnych narodowości, w tym oczywiście i Polaków.

(Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone)

Diamenty i aligatory

PORK-KNOCKERZY

CHINA, Juno, Rum, Toobati, Capuchi, Cofee, Jossue, Carbon, Fel-Fel, Sink, Battle (miska do płukania złota), Bishop, Lynch — nazwiska lub przezwiska. Czarni jak węgiel lub wymieszani jak kawa z mniejszą lub większą porcją mleka. Młodzi i starzy, z czuprynami papuasów, brodami bitników, łysinami bankierów. Pokryci szramami od kutlasów, podwodnych skał, podskórnych wszy i natury, która tutaj jest obficie w kolce i brzytwy uzbrojona. Zadyśzani astmą złapaną w wilgotnej dżungli lub na dnach diamentowych rzek, weseli i ponurzy, śpiewający i milczący — pork-knockery, miejscowi i z Zachodnich Indii, z Brazylii, Wenezueli, Panamy, z Florydy i z Kanady, z Polski nawet i z Czech — w dżunglach Amazonki, pod konarami i skałami, w strumieniach górskich, na szczytach stołowych gór i na dnach rzek szukający „El Dorado”, złota i diamentów, których tam nie brak, które trzeba tylko umieć znaleźć i które uśmiechają się do każdego śmiałka z łutem szczęścia za pazuchą.

Skąd to dziwne imię? Nawet nie wiadomo jak i kiedy powstało. Istnieją trzy wersje: (1) poszukiwacz złota i diamentów zjawia się w bodedze, stuka (knock) w blat i woła o porcję świńskich ogonków (pork). (2) Skorumpowane „port-knocker”, tj. ten, który „puka” od portu do portu. (3) Wreszcie również skorumpowane „poke-knockers” od „pocking” (grzebać) i „knocking about” (koletać się) w poszukiwaniu złota i diamentów. Według znawców ta ostatnia wersja jest najbardziej prawdopodobna.

Fantastyczne typy. „De outro mundo” czyli z innego świata. Czarny Jossue ma straszną szramę przez pół twarzy, zniekształcającą nos, szczękę i brodę. Dwa żółte zęby sterczą mu cymbicznie z wykrzywionych warg. Nosi dziurawe portki, strzępy koszuli, bezkształtny kapelusz na kudłatej głowie i jest „królem diamentowym”, odkrył bowiem dla Jurka Golasa najlepsze tereny na Mazaruni. I pije jak smok, i zna wszystkie angielskie wojenne piosenki, i jest jednym z najlepszych nurków w Gujanie.

Bishop istotnie wygląda na biskupa. Jest starszym już, siwym i łysawym Murzynem. Zawsze poważnym i noszącym się nad innymi. Według Kazika jest najsolidniejszym ze wszystkich foremanów diamentowych. Nie nawali, nie pozostawi chorego na pastwę dżungli, zapewne nawet mniej kradnie i mniej oszukuje od innych. — Z nim jestem gotów pójść w najdzikszy busz, najgorszą łajnę — stwierdza Kazik.

Natomiast inni tylko czekają, by się tym od nich odwrócić. Choćby taki Joe Lynch. Młody, silny Murzyn, najlepszy ponoć pork-knocker w Gujanie. Ale zaufać mu nie można na grosz. Jak tylko mu się uda, okradnie, oszuka, zamorduje, gdy trzeba. Trzy miesiące temu odleciał do Georgetown z kilkoma tysiącami dolarów w kieszeni. Miał dobry sezon diamentowy. Ale dzisiaj nie ma już centa i błaga Golasa, by mu zafundował przelot z powrotem nad Maza-

runi i pożyczył dwa dolary na drobne wydatki.

Tacy już oni są. Kilka lat temu Battle zrobił fortunę. Ponoć kilkaset tysięcy. Pochodził z Wenezueli. Wrócił tam i począł żyć jak udzielny książę. Samego prezydenta na obiady zapraszał. Oczywiście w pół roku wszystko stracił i w podartych portkach z powrotem do gujańskiego buszu wrócił.

Jednym z najsławniejszych, legendarnym już dzisiaj, był „Ocean Shark”, waga-bunda spod najciemniejszej gwiazdy. Zabili go w końcu Indianie, gdy jakiejś Indiance zrobił dziecko. — Złodzieje i mordercy! — mówił o nich Bob Novak, sam tramp, pork-knocker i waga-bunda pierwszej klasy. Ale dopiero na „szancie” byś coś zobaczył — dodaje Kazik. — To taki zjazd pork-knockers z całego kraju na nowo odkryte pola diamentowe lub złotodajne. Nieraz kilkuset ich przychodzi, przyływa lub przylatuje. Piją wówczas na umór i rzną się o byle co. Murzyni kutlasami, a Brazylijczycy i Wenezuelczycy nożami. Są wypadki, że i 100 szwów trzeba zakładać na piersiach lub plecach. Jurek Golas niejednego już tak pokrajanego pork-knockera na własny koszt awionetką do szpitala w Georgetown transportował.

Kobiety? Jakżeby ich nie było, skoro jest złoto i są diamenty!

Sławna „Pepsi Cola Bottle”, nazwana tak od figury przypominającej butelkę, potrafiła żądać 1 000 dolarów za noc i — dostać je od szczęśliwego pork-knockera, co bynajmniej nie przeszkadzało jej iść z innymi za 5 dolarów!

Siedzimy przed domem Golasa w Kamarangu. Łodzie już wykończone. Za kilka dni ruszamy na połów diamentów. Obserwuję więc ludzi, z którymi przez kilka następnych tygodni będę jadł z jednej miski, spał pod jednym dachem z płachty brezentowej, siedział na jednym pontonie na rzece, wyluskiwał diamenty z kolorowego żwiru.

Pork-knockery to głównie Murzyni i Metysi. Ci pierwsi miejscowi, ci drudzy przeważnie z Brazylii lub Wenezueli. Hindusów, którzy przecież stanowią większość ludności kraju — wśród pork-knockers nie ma. Nie nadają się do tej ciężkiej, niebezpiecznej pracy. Ani fizycznie, ani psychicznie. Murzyni natomiast wydają się specjalnie kochać ten zawód. Aż przyjemnie patrzeć na tych dobrze zbudowanych, zawsze wesółych czarnych drabów — bez względu na to, że są „crooks and assassins”. Zresztą, może nie tak dawna afrykańska przeszłość pomaga im w lepszym od innych znoszeniu życia w buszu.

W Brytyjskiej Gujanie jest ok. 2 000 pork-knockers i dzieli się z grubsza na dwie kategorie — poszukiwaczy złota i poszukiwaczy diamentów, przy czym zrozumiałe, że ci drudzy mają się za coś lepszego. Pracują albo dla siebie, zazwyczaj parami (bo w buszu tylko Kazik Krzeszowicz sam łązi) i wówczas cały swój dobytek i narzędzia prospektorskie noszą na plecach w specjalnym koszu, albo pracują dla kogoś, kto ich na miejsce samolotem lub łodziami dowozi. Tworzą wówczas załogi (dziesięciu nurków

z foremanem na czele oraz jedenasty kucharz), które o nic nie potrzebują się starać, jak tylko o znajdowanie diamentów. Pracujący samodzielnie idą w busz piechotą, nad nie zbadane dotąd strumienie lub mało dostępne górskie szczyty — na tak długo, na ile da się zabrać na plecy prowiantu, w buszu bowiem na znalezienie żywności liczyć nie można. Są w nim polacie, gdzie można umrzeć z głodu, gdzie nawet papuga dziobu nie pokazuje. A mięso papugi to przecież ostateczność. Sprawdzianem czy się ugotowało jest zwykły gwóźdź. Wrzuca się go razem z papugą do kociołka. Gdy gwóźdź zmięknie, papugę można jeść!

Ciężki fach. Niebezpieczny fach. Ciekawy fach. Trafiają się w nim i biali amatorzy. Właśnie w Kamarangu po kilkutygodniowym pobycie w buszu odpoczywają jeden Australijczyk i czterech Amerykanów.

Terry Carper i jego przyjaciel Bill są z Florydy. Obaj mają po 21 lat i są rudzi. Terry do tego ma 6 stóp i 6 cali wzrostu, a Bill nie jest wiele niższy. Wśród 5-stopowych Indian wyglądają jak autentyczni Guliwe-



Czarni lub wymieszani jak kawa z mlekiem

rzy wśród liliputów. Nawet Kazik przy nich maleje. Przylecieli do Gujany na dwuosobowej awionetce. Zbiornik paliwa był zbyt mały jak na taką wyprawę, a lądowanie na wysepkach Indii Zachodnich zbyt kosztowne. Wobec tego, gdy jeden pilotował, drugi pompował (ręczną pompką!) paliwo z zapasowych baniaków do zbiornika. I dolecieli. Awionetkę sprzedali Jurkowi za 1 500 dolarów i poszli szukać szczęścia na polach diamentowych. Coś tam znaleźli, ale niewiele. „Crooks and assassins”, czyli nasi pork-knockery nie dopuszczają przecież amerykańskich żółtodziobów do diamentowego korytka. Nie zniechęcili się jednak. Gdy spotkałem ich w Kamarangu, szykowali się właśnie do wyprawy w dół rzeki, poniżej wodospadów, gdzie raj aligatorów i węży.

— Chcecie polować na aligatory? — dziwi się Kazik. — Tutaj na miejscu, w Mazaruni mamy ich pod dostatkiem. Wystarczy nocą wypłynąć na rzekę i poświecić latarką. Czerwone ślepia jarzą się w wodzie co kilka metrów. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie celować, by zabić (Kazik wie, oczywiście).

— Ale my nie chcemy strzelać, tylko łąpać — tłumaczy Terry.

— Łapać? — Kazik śmieje się. — Czym? Rękoma?

— Rękoma!

Nie dowierzamy, a najbardziej nie dowierza Kazik, który przecież na wszystkim zna się najlepiej. Terry i Bill tłumaczą więc, jak to się na Florydzie robi, i że to nie żadna sztuka. Trzeba tylko „gada” zapędzić na łąd, gdzie już całkiem łatwo go schwytać, a gdy się go na plecy przewróci, to leży jak martwy. Jakies tam nerwowe ponoć, aligatorskie kompleksy. To już Kazika przekonuje. Chwyta kurę i wsadza jej głowę pod skrzydło. — Może tak leżeć z godzinę jak nieżywa — z kolei tłumaczy Amerykanom, którzy o tym nie wiedzieli.

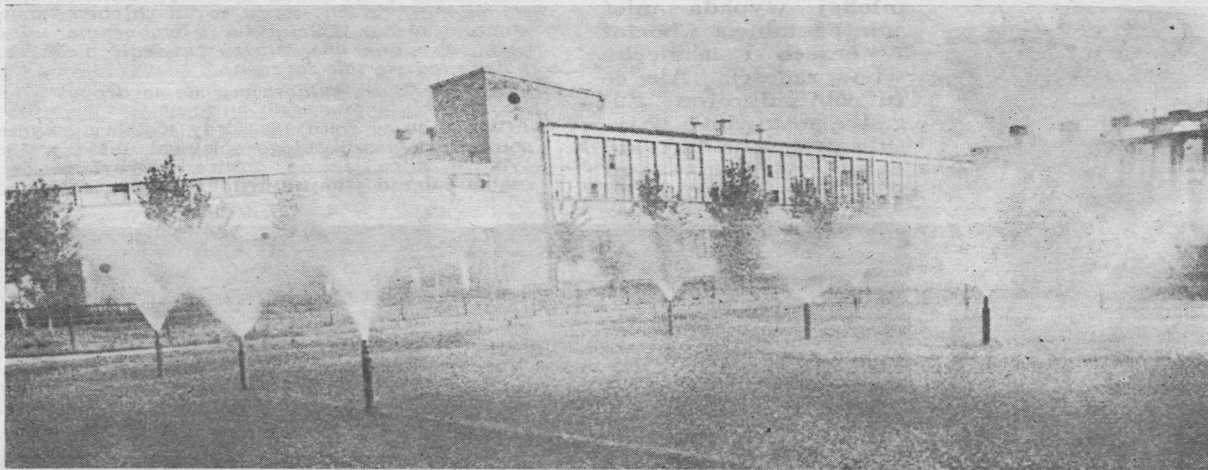
Aujourd'hui, le jambon tel qu'on le mangeait il y a encore une trentaine d'années n'existe plus. Personne ou presque ne fait son jambon soi-même; tout le monde l'achète chez le charcutier. Car le jambon vendu en Pologne (et à travers le monde entier) est vraiment excellent. La raison? Comme le déclarait au cours d'une réunion commerciale un représentant de la firme polonaise d'exportation du jambon c'est que le porc polonais a plus de liberté que le porc par exemple américain ou britannique. En effet, l'élevage du porc se fait en Pologne d'une manière traditionnelle et non pas dans d'immenses fermes où le cochon est nourri de vitamines sans faire un seul mouvement. Ce mouvement et la pomme de terre au naturel sont la source de la qualité supérieure du jambon importé de Pologne. Essayez et vous en conviendrez immédiatement.

NA świątecznym stole pojawiała się w zamożniejszych domach — wielka, ugotowana z kością. Na półmisku leżała ze zdartą od brzegu wędzoną skórką, ukazując apetyczny, delikatny tłuszcz. W ten tłuszcz perfidne gospodynie wbiły goździki, posypywały usiekany jajkiem, maily zielonym bukszpanem. To były delicje! I wspomnieć miło, choć to już nie wróci. To już przeszłość.

W Polsce po drugiej wojnie nikt już własnej szynki nie przyrządza. Kupuje się czasem na święta u rzeźnika surową, już uwędzoną — i tylko w domu gotuje. Częściej zaś sięga się po puszkę. Wielcy znawcy twierdzą, że jednak taka szynka spreparowana po staroświecku, z wielkim gnatem pośrodku, jest lepsza, ale ja już zapomniałem, jak to dawniej bywało. Gdy mi ochota przychodzi, opowiadam się za puszką, w której spoczywa także ogromny ładunek dobrego smaku. Można zaś skorzystać z niej w każdej chwili, gdy tylko na to przyjdzie pora. Właściwie nawet nie widzę różnic. Nawet czasem, zupełnie jak profan kulinarny, myślę sobie, że ta w puszcze nawet lepsza! Tak, ale musi być z Polski.

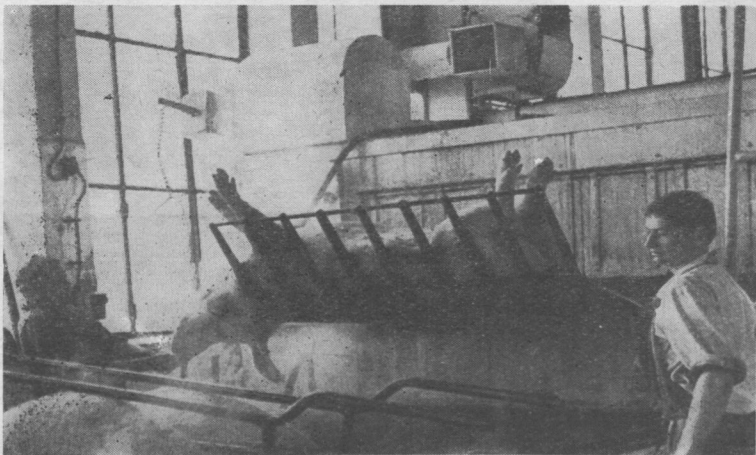


SZYNKA PO POLSKU



Rzeszowskie zakłady przemysłu mięsnego, w których m. in. wyrabia się znakomitą szynkę w puszkach

Pierwsza faza produkcji...



... i już w puszkach



Przed kilku laty na pewnym spotkaniu w jednym z amerykańskich klubów polonijnych z kilku rodakami z Kraju ktoś zapytał, dlaczego polska szynka jest lepsza od innych. Odpowiedź przybyła z Polski była następująca:

— Główną przyczyną, proszę panów, jest to, że w Polsce świnki mają znacznie więcej wolności niż w Ameryce.

Gdy śmiech zebranych się uciszył, gość wyjaśnił już poważnie, jak to należy rozumieć. Otóż trzoda chlewna hodowana jest w Polsce przede wszystkim przez indywidualnych gospodarzy, którzy stosują metody hodowli zbliżone do warunków naturalnych. Świnki mogą się poruszać po dużym wybiegu podwórza, grzebią w ziemi, zdobywają na własną rękę pożywienie. To zaś, czym się je pasie, to przede wszystkim ziemniaki, żyto i pasza zielona. Poza tym już w USA dowiedziono, że świnka jest zwierzęciem bardzo psychicznie (a może lepiej powiedzieć: „nerwowo”?) wrażliwym — i nie lubi żyć w wielkim tłoku. Stwierdzono także, że mięso świnki, która doznała przed ubojem wielkiego przestraszenia — nie jest tak dobre, jak tej, która żadnych takich bodźców nie odniosła. Aby szynka smaczna była, zwierzę musi być bardziej spokojne, musi mieć trochę ruchu — a więc swobody, tej „wolności”.

To jest oczywiście tylko część sprawy. Druga — to sięgnięcie przez producentów do starych, wypróbowanych przepisów. Właśnie tych, które nam tak cudownie kojarzą się ze świętami wielkanocnymi. Mimo że znajduje się w puszcze — sławna „szynka po polsku” nawiązuje do tradycji. To właśnie zapewniło jej rynki zagraniczne. Polska szynka jest chuda, łatwo strawna, dostosowana do standardowych wymagań odbiorców, no i wyprodukowana jest przez doświadczonych producentów, którzy od 40 lat ją eksportują.

A zatem: smacznego każdemu, kto otworzy zgrabną puszkę z marką „Krakus” — na świąteczny stół.

Jacek MILCZEWSKI

Zdjęcia, którymi ilustrujemy nasz artykuł o szynkach, pochodzą ze znanej fabryki wędlin w Rzeszowie, produkującej na eksport.

W E S E L E

Z

MIKROFONEM

WSZYSTKO było najdokładniej jak przed laty. Pisywał już o tym wielce zasłużony dla badania i zachowania w pamięci pokoleń odwiecznych zwyczajów **Oskar Kolberg**, którego kilkudziesięciotomowe dzieło „Lud Polski” niedawno zostało w Kraju wznowione.



Hej, para za parą, a młodzi na czele! Wprawdzie deszcz trochę przeszkadza,

„Kaszubskie nuty” — wielce ciekawy i niezwykle trudny do odszyfrowania zapis. Dziś spotyka się w zbiorach regionalnego muzeum

Zdjęcie z lewej u dołu przedstawia „starych”. Wiekiem nie są oni wcale starzy. To pełni młodzieńczej fantazji i wigoru druźbowie

Na oczepinach pannie młodej wypada mieć smutną minę... Chociaż w oczach i uśmiechu wiele radości... Ale co tu robi mikrofon? Zagadkę postawioną w tytule wyjaśnia artykuł

DANO na zapowiedzi, a po trzecich narzeczony zjechał do wsi oblubienicy. Ściśle mówiąc nie do wsi, a do poważnego, powiatowego miasta Kartuz. Ale zwyczaj wiejski ściśle zachowano. I tu właśnie, w Kartuzach, obrał sobie druźbę, czyli jak na Kaszubach mówią, „starego”. Panna młoda ze swej strony także sobie swojego obrała. A że „na drugi dzień miał się ślub odbyć, więc jeden i drugi stary poczęli już spraszać gości na wesele. Byli to wcale jeszcze nie starzy ludzie, ci druźbowie. Ubrali się oni w świąteczny ubiór z zielonymi bukietami na czapce i u boku, a ozdobionymi w blaszki złoczone i w trójbarwne wstęgi, wzięli też w ręce kije podróżne w kwiaty ustrojone. Tak ubrani, zaczęli po wsi gości spraszać, a przemawiali, jak to i uszędzie bywa, żartobliwymi, wyszukаныmi słowami” (Kolberg).

Prócz starych, państwo młodzi wybierają sobie jeszcze spośród męzatek, każde dla siebie, po jednej tak zwanej w tych okolicach *przedance*, czyli druźnie. Każda z nich ustroiła się pięknie na tę okazję w białe *rańtuch* na głowie upięty.

„Kiedy już sproszeni goście przyszedli do domu panny młodej, to ich uczęstowano chlebem jasnym jak słońce, masłem żółciutkim i wyborynym miodem do picia, a potem obaj starzy zawiedli pieśń czysto po polsku, co się tak zaczyna:
W imię Boże, zabierajmy się w drogę!”

Tak było w roku 1882, gdy Kolberg zwyczaj wesele ludu kaszubskiego spisywał, tak i w 1968, z tą tylko różnicą, że na drodze przybył jeszcze jeden etap — urząd stanu cywilnego, który rejestruje mał-





le jak tu nie obejrzyć wesela kaszubskiego?

żeństwa prawnie, podobnie jak to robi we Francji merostwo.

Tak to stare zwyczaje wzbogacają się o nowe i tworzą stop mocny i żywotny. Ze starych zresztą wiele jest drobiazgowych przepisów, zmiennych nawet w poszczególnych miejscach ziemi pomorskiej. I tak w Wejherowskim kobieta idąca do ślubu powinna mieć fartuch „zapasany”, czyli na sukni zawiązany — widać, żeby robotna była. Szeroko stosowany jest zwyczaj, by pod wieńcem panna młoda miała ukrytego dukata, kawałek chleba i kawałek cukru — aby życie młodych toczyło się dostatnio, słodko i „pieniężnie”.

W odpowiedzi na śpiew družbów rodzice pobłogosławili oboje młodych. Każde z nich ze swymi bliskimi i gośćmi wyrusza w drogę osobno, obie grupy schodzą się dopiero na cmentarzu przykościelnym.

U wejścia do kościoła zachowuje się ścisły, tradycyjny porządek: najpierw stary pana młodego ze strojną, uniesioną do góry laską, pan młody z krewnymi, panna młoda, przedanki, krewni młodej i goście.

Ze ślubu wszyscy jadą do domu pana młodego na poczęstunek. Starzy za to wyliczali podatek (dar) dla gospodarza, a wszyscy mężczyźni musieli go zapłacić. Przez ten czas panna młoda siedzi, wedle zwyczaju, na węgle izby z przedankami.

Dopiero na noc wszyscy zjeżdżają do przyszłego domu młodych, jeśli nie jest to dotychczasowy dom pana młodego. Zresztą pierwszy poczęstunek może odbyć się także w domu družby pana młodego i on wówczas, jako gospodarz, ów podatek odbiera. Nim jednak goście weselni wejdą do domu nowożeńców,



Jak przed stu laty, jak przed wiekami... Żyje dawna tradycja, cieszy serca starych i młodych

muszą, według zwyczaju, wpięć pukać do drzwi tak długo, aż z wnętrza ktoś się odzwie:

— Kto tam?

— Przyjaciele!

— Nie, nie, jeśli jesteście obcy lub Niemcy, wy-wiedźcie się!

Po upewnieniu się, że nie Niemcy, a swoi, drzwi się otwierają, gra muzyka i zaczyna taniec. Niedługo zresztą, bo wraz będą i oczepiny, do których zaśpiewano starą pieśń, na wpół żartobliwą, na wpół melancholijną:

**Szły dziewczyny swińskim torem
i znalazły sieczkę z worem.
Sieczkę z wora wytrząsnęły
pannę młodą oczepiły.
O mój wianku lewejńdowy
nie spadajże z mojej głowy.
Bo jak spadniesz, nie znaję cię
będę miała kłopot o cię.**

Niestety, zapis ten, choć co do słów wierny, nie oddaje całego uroku dźwięcznej gwary kaszubskiej, której brzmienie zapisać można wiernie tylko specjalnymi znakami, a najlepiej na taśmie magneto-fonowej. Nie możemy też wyjaśnić w krótkich słowach, jak odczytywać ciekawy zabytek ludowej kultury tej polskiej ziemi — „nuty kaszubskie”.

Wkrótce przedanki odprowadziły pannę młodą do ślubnej komnaty, tam ją zamknęły i klucz ze sobą zabrały, a wraz rozeszli się i goście.

Nazajutrz z rana znów drzwi komory otwary, izbę młodym wyprzątnęły, znów zeszedli się goście. Pan młody częstował ich chlebem, młoda orzechami, za które po kilka drobnych monet składano, a zamożniejsi i srebrne „praskie grosze” rzucali, bo taki był na Kaszubach zwyczaj. Z wieczora znów weselili się wszyscy, w obfitości jadła i napitku, do nocy.

Na trzeci dzień dopiero poszedł pan młody sam spraszać swoich krewnych, a z nimi przyszły także i zamężne kobiety po raz pierwszy, bo przez dwa poprzednie dni nie wolno być mężatkom na weselu inaczej, jak jako przedanki państwa młodych.

✱

No dobrze, a czemu tu mikrofon? Bo wszystko to się działo w Kartuzach, w czasie Dni Folkloru Ziemi Kaszubskiej. Więc prawdziwy był ślub czy nieprawdziwy? O, na to można odpowiedzieć, lecz z ostrożnością. Ślub był w każdym szczególe wierny prawdzie i tradycji. I nie przebrani aktorzy brali w nim udział, ale Kaszubki i Kaszuby prawdziwe. Z Zespołu Pieśni i Tańca przy Powiatowym Domu Kultury w Kartuzach. Prawdziwe były stroje, muzyka, przyspiewki, zgodny z tradycją każdy szczegół ślubu i wesela. Zwyczaj stary, narodowy, bardzo jest w Kraju szanowany i po to się go w czasie festiwali, dni folkloru, dni kultury regionów i podobnych okazji, gdzie stara tradycja staje się znów żywa, przypomina — by nie poszedł w zapomnienie. Chętnie młodzież nawiązuje do zwyczajów, śluby w strojach i wedle zwyczajów ludowych nie są wcale rzadkością wśród ludzi, którzy na co dzień po miejsku chodzą ubrani.

Zaś ostrożność nasza wynika z doświadczenia. Otóż rok wcześniej, z okazji takich samych kartuskich Dni Folkloru, raz już taki ślub z mikrofonem się odbył. I tak jak tym razem panna młoda była jak malowana, pan młody na schwał. A dziś są już prawdziwym małżeństwem. Kto wie, czy nie przyjdzie nam przypomnieć kiedyś głównych bohaterów naszego dzisiejszego fotoreportażu i napisać „Wiwat młoda para!”

Zdjęcia: Stefan FIGLAROWICZ



Wspaniały kaszubski haft lśni na czepcu

Koniom należy się także strój odświętny!



Cóż tam się stało? Trzeba się zainteresować!



Dokończenie ze str. 9

Szczęśliwie jednak udało się całej rodzinie prze-trwać zawieruchę. Mieczysław wrócił do domu po odbyciu kampanii 1944—1945. Lucja wyszła za mąż za Polaka i wyjechała do Polski, sztandar powrócił do domu pp. Zalewskich.

Liczba dawnych powstańców, zamieszkałych na terenie Francji, maleje. Związek, który skupiał kiedyś około 1.500 osób z Francji i Belgii — dziś nie istnieje. Dlatego więc uczestnicy Powstania Wielkopolskiego postanowili, żeby w 50 rocznicę ich czynu zbrojnego sztandar związkowy oddany został do Muzeum Wojska Polskiego w Poznaniu.

Aktu tego dokonali delegaci: pp. Kazimierz Kowalewski i Czesław Morzyński. Sztandar wraz z drzewcem, szczęśliwie przechowany przez lata okupacji, zawieźli do Polski i wręczyli go reprezentantom poznańskiego Koła ZBoWiD-u z prośbą o umieszczenie w zbiorach muzeum wojskowego. Będzie on tam przypominał o Powstaniu i o tym, że tradycje i kult czynu powstańczego żyły długo wśród Polonii francuskiej.

PRZEMÓWIENIE REPREZENTANTA POLONII FRANCUSKIEJ

Pan Kazimierz Kowalewski z Waziers, dawny powstaniec, wygłosił w Poznaniu przemówienie następującej treści:

„Drodzy Goście, Kochani Bracia Powstańcy!
Z głębokim wzruszeniem wraz z kolegą przy-jeliśmy zaproszenie na udział w uroczystościach z okazji naszego czynu zbrojnego sprzed 50 lat. Toteż w pierwszym rzędzie dziękujemy władzom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej za umożliwienie nam udziału w tak bliskich naszemu sercu ob-chodach. Pragnę podkreślić, że uroczystości z oka-zi 50 rocznicy Powstania Wielkopolskiego są przedmiotem bardzo dużego zainteresowania rów-nież w skupiskach polonijnych na emigracji.

We Francji i Belgii było nas — byłych powstań-ców około 1.500. Utworzyliśmy 9 kół. Następnie Okręg na Francję i Belgię. Dodam, że byli to w większości górnicy, którzy w poszukiwaniu pracy znaleźli się na emigracji. Ciężka była nasza praca, toteż niewielu z nas już pozostało. Wszyscy oni gorąco kochają swoją Ojczyznę, ze wzruszeniem wspominają swoją ziemię wielkopolską.

Upoważnili nas do przekazania Wam, Bracia Powstańcy, najgorętszych uczuć i pozdrowień.

Zapewniam, że w poczynaniach Waszych serca i myśli nasze są zawsze z Wami.

Niech żyje i rozkwita nasza kochana Ojczyzna Ludowa!

Niech żyje wieczna przyjaźń polsko-francuska!”

Wspomnienia powstańca wielkopolskiego z Bru-ay-en-Artois

Franciszka KROLLA
w następnym numerze



BIURO PODRÓŻY TRANSTOURS

Oficjalny przedstawiciel „ORBIS” licencja 132
22, rue du 4 Septembre — PARIS II - ème tél. 742-77-40
49, av. de l'Opéra — PARIS II - ème tél. 742-47-39
(métro: OPERA)

organizuje wyjazdy do Polski:

**Koleją dwa razy w tygodniu,
pociągami bezpośrednimi (bez żadnych przesiadek)
z PARYŻA, LILLE oraz METZU do POZNANIA,
WROCŁAWIA, KATOWIC i KRAKOWA**

TRANSTOURS

- załatwia wszelkie formalności paszportowe i wizowe dla wyjeżdżających koleją, samochodem lub samolotem,
- wystawia bony „ORBIS” wymienne w Polsce na złote,
- przekazuje pieniądze do Polski po bardzo korzystnej relacji,
- sprowadza krewnych z Polski do Francji na urlop,
- wystawia bilety kolejowe, lotnicze i okrętowe po cenach oficjalnych ze zniżkami „Congés payés”, „Famille nombreuse” etc...
- bilety turystyczne po cenach zniżkowych na przelot samolotem.

Przy wyjeździe do rodzin dnia 30 lipca „TRANSTOURS” organizuje 5-dniowe zwiedzanie Polski, co zwalnia z kupna bonów i wszelkich formalności dewizowych.

Zgłoszenia i zapisy przyjmuje TRANSTOURS

oraz nasi korespondenci terenowi

DIAMENTY I ALIGATORY

Dokończenie ze str. 10

Skoro rozmowa zesła już na miejscowe „corki” (krokodyle) — wybucha kłótnia. Który gorszy, bardziej niebezpieczny, większy? Aligator czy kajman? Ja siedzę cicho, bo jak dotychczas widziałem je tylko w zoologu.

Kajmany są czarne z białym brzuchem, aligatory są szarobrazowe. Kajmany mają kwadratowe pyski, aligatory podłużne. Kajmanom oczy świecą się żółto, aligatorom czerwono. Oba nie mają języków. Kajmany mają jednak bardzo brzydki zwyczaj kasa-nia po śmierci. Gad jeszcze w pół godziny lub godzinę po zabiciu go potrafi jednym machnięciem szczęki okaleczyć myśliwego. Ponoć refleks systemu nerwowego nie zwią-zanego z resztą organizmu. Aligatory są nie-szkodliwe. Nikt nie słyszał (w Kamarangu), by komuś jakąś krzywdę wyrządziły. Nato-miast kajmanów wszyscy boją się jak diab-łów. Urzędują poniżej wodospadów, dochodzą do 20 stóp długości i zakosztowały już mięsa ludzkiego. A nawet jak zębami taki nie dosięgnie, to machnięciem ogona może pływakowi złamać rękę lub nogę. Łapanie ich żywcem pozostawiamy więc naszym A-merykanom.

W kilka tygodni później spotkałem Ter-ry’ego w sklepie w Georgetown. Klepnął mnie po plecach, po czym wskazał na wi-

szący mu na ramieniu futerał od aparatu filmowego. — Założę się, że nie zgadniesz co w nim jest! — Nie założyłem się, bo już samo pytanie dowodziło, że jest w nim wszystko tylko nie aparat filmowy. Zniechęcony moim brakiem anglosaskiej żyłki do hazardu, to samo pytanie zadał z kolei milej czarnulce sprzedającej zza kontuaru amerykańskie nylony. Wykazała więcej za-interesowania, wobec czego Terry, z figlar-nym uśmiechem na twarzy pozbawionej już rudej brody, uchylił wieka futerału. Z wną-trza ukazała się szpiczasta główka węża i śmignął jego języczek. Sprzedawczyni zbla-dła (jeżeli można tak powiedzieć o czar-nych), a ja na wszelki wypadek cofnąłem się o krok. Terry opowiedział mi jeszcze, jak to niewielki zresztą, gujański kajmanik, go-niony przez niego po brzegu rzeki, rozzło-ścił się nagle. Kłapiąc wściekle szczękami i sysząc jak wąż, przepędził niefortunnego myśliwego znad rzeki w busz, po czym machnąwszy na niego ogonem, powrócił do wody.

Przed domem wybucha nagle inna kłót-nia. To Bob Novak spiera się z wenezuel-skim pork-kockerem na temat wydobywa-nia diamentów z dna rzeki. — Jak jest pia-sek, to nie ma co diamentów szukać — twierdzi Wenezuelczyk, mały, gruby, oliw-kowy. — Człowieku — naskakuje na niego Bob. — Nie wiesz, co mówisz. Nad Rio Negro najlepsze diamenty wydobywaliśmy właśnie spod piasku. — Nie wierzę. — Wenezuel-

czyk kręci okrągłą, łysą głową. — Od 20 lat jestem nurkiem. Wiem, co mówię. Spod pia-sku nic się nie wygrzebie. Tylko ze żwiru. — Głupi jesteś — zaperza się Bob. — Robiliś-my koła z żelaznych beczek, zatapiałiśmy je na piaszczystym dnie i kopali w ich wną-trzu. Im było głębiej, tym więcej takich kół się dostawiało, aż pod piaskiem dokopywa-liśmy się żwiru, a w nim diamentów.

Dyskusja toczy się po portugalsku. Ktoś z boku wtrąca się po angielsku, z tym śpiew-nym, gujańskim akcentem. Mały Indianin w wielkim, australijskim kapeluszu poma-lowanym na niebiesko, zupełnie pijany, coś tam bełkoce po swojemu. Papugi wrzeszczą jakby je z piór skubano i mam ochotę przynajmniej jednej ukreć zielony łeb.

Zaczyna padać deszcz. Chowamy się pod dach. Jurek z Kazikiem martwią się. Zbyt dużo deszczów w tym sezonie. Woda na rze-ce nie może opaść. A przecież od wysokości wody zależy praca nurków. Poniżej 60 stóp niechętnie schodzą. Poniżej stu rzadko któ-ry. A Mazaruni jest miejscami bardzo głę-boka.

W następnym numerze:

PERYPETIE PEPIKA

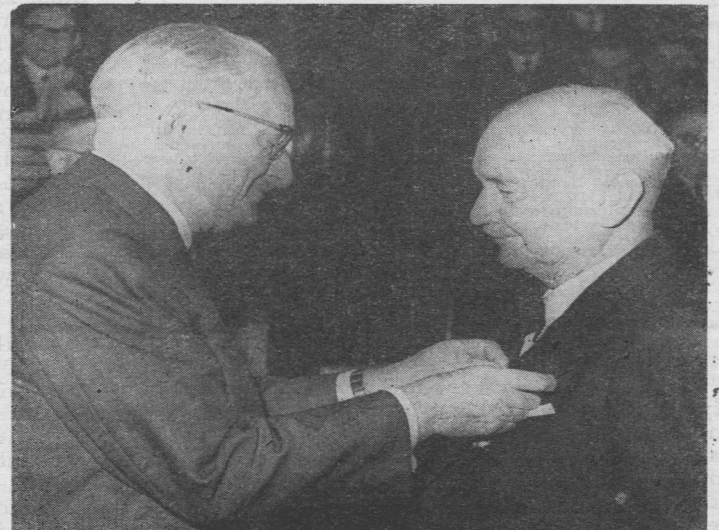
LA PLUS POPULAIRE DES VARSOVIENNES AU SERVICE DE LA PHYSIQUE

Madame Edyta Wojtczak est sortie grande triomphatrice du plébiscite organisé par la presse de la capitale polonaise qui avait pour but de désigner la Varsoviennne la plus populaire pour l'année en cours. Mme Wojtczak, que tout le monde appelle à Varsovie „Edytka”, est speakerine à la télévision. Son sourire qui fait rêver bien des hommes, jeunes comme vieux, n'a rien d'un masque professionnel. Edyta Wojtczak est toujours, au studio comme à la ville, pleine de joie de vivre; aucun nuage n'assombrit son visage. La popularité — elle est connue de toute la Pologne — ne lui a pas fait perdre la tête. Elle est restée aussi simple qu'au début de sa carrière. C'est probablement pour cela que les Varsoviens l'aiment tant. Et puis, il faut bien l'avouer, Edytka est aussi un beau brin de jolie fille.



Pour son quatre-vingtième anniversaire, le professeur Wojciech Rubinowicz a été décoré par le Conseil d'Etat de la République Populaire de Pologne de l'Ordre de l'Etendard du Travail de Première classe. La décoration lui a été remise par le professeur Janusz Groszkowski, président de l'Académie Polonaise des Sciences (notre photo). Le professeur Wojciech Rubinowicz est sans aucun doute un des plus grands physiciens polonais de nos temps. Auteur d'environ une centaine d'ouvrages, il est considéré tant en Pologne que dans le monde entier comme un des grands spécialistes dans les domaines de la théorie de la diffraction, de la mécanique des quantas, les méthodes mathématiques applicables dans

la physique. Le professeur Rubinowicz est considéré comme le fondateur de l'école polonaise de physique théorique. Ses travaux sont connus des savants du monde entier, il a formé au cours d'un demi siècle d'activité pédagogique, toute une armée de chercheurs qui aujourd'hui travaillent dans des dizaines de laboratoires de tous les continents. Grand spécialiste dans le domaine de l'optique, il a amélioré la théorie du physicien anglais T. Young (1733—1829) qui est actuellement désignée dans les ouvrages spécialisés sous le nom de théorie Young-Rubinowicz. Le professeur Rubinowicz est titulaire de nombreuses décorations et distinctions scientifiques qui lui ont été remises par des académies et universités polonaises et étrangères.



L'ORDRE EUROPEEN SE CONSOLIDE SUR L'ODRA ET LA NYSA

Dans son dernier discours prononcé à Wrocław, le président du Conseil des ministres, Józef Cyrankiewicz, a souligné l'importance du développement des terres de l'Ouest pour la Pologne, pour l'Europe et pour la cause de sa sécurité. Les fondements de ce développement ont été posés il y a un quart de siècle.

Le processus millénaire de l'expansion germanique à l'Est a été définitivement stoppé et repoussé sur l'Odra et la Nysa. Cette frontière a été tracée non seulement pour réparer des dommages séculaires causés par l'esprit d'agression germanique. Cela a été fait en pensant à l'avenir, sous l'influence des perspectives d'une politique sage représentée surtout par l'Union Soviétique pour mettre fin une fois pour toutes à l'impérialisme allemand agressif. La frontière sur l'Odra et la Nysa — a souligné J. Cyrankiewicz — est donc non seulement l'affaire de la Pologne et des Polonais. C'est une cause qui concerne toute l'Europe, elle garantit la sécurité de tout le continent et, en résultat, chaque tentative d'ébranlement constitue une menace pour notre sécurité nationale et celle de nos alliés.

Le président du Conseil J. Cyrankiewicz a souligné ensuite le danger que recèle le monde actuel déchiré par un conflit entre l'impérialisme et le socialisme. Il faut en parler ici justement, à Wrocław — a constaté le président du Conseil — car ces terres situées sur l'Odra et la Nysa sont l'objet de l'attention des hommes politiques de Bonn. On peut même risquer l'affirmation que toute leur pensée politique se concentre sur ces terres et sur nos frontières. Car la principale tendance de la politique de Bonn vise à abolir l'ordre international dont les frontières nationales établies après la guerre et le système politique d'après-guerre sont le fondement.

Nous sommes de nouveau témoins d'une grande provocation escomptée pour éveiller un trouble international,

augmenter la tension, ébranler les éléments du système européen, établis depuis un quart de siècle. Ce n'est pas pour la première fois que les hommes politiques de Bonn ont conçu le projet — qu'ils considèrent comme une petite stabilisation de la provocation — d'élire le président de leur Etat en dehors des frontières de la RFA — sur le territoire de Berlin-Ouest qui ne fait pas partie de la RFA, qui est une unité politique à part, où le statut d'occupation est en vigueur.

La décision de Bonn éveille l'opposition naturelle et fondée de la République démocratique allemande, de la Pologne, de l'Union soviétique et des autres Etats socialistes.

La décision du gouvernement de la RFA porte les signes d'une provocation consciente. Mais il y a encore un motif qui se cache derrière cette provocation. Au cours des dernières semaines des perspectives se sont ouvertes devant un dialogue entre l'Est et l'Ouest sur la limitation des armements nucléaires et des missiles. Simultanément des entretiens sont en cours entre quatre puissances pour chercher une solution au conflit du Proche Orient. Et enfin des entretiens quadripartites ont commencé à Paris au sujet du Vietnam. Tous ces problèmes, difficiles et pressants, peu faciles à résoudre, demandent du temps, de la patience et de l'endurance. Il est beaucoup plus aisé d'enfoncer ici le coin de la discorde que de faire avancer la solution des problèmes.

Nous sommes animés par un seul et unique mobile: la consolidation de la paix et de la sécurité européenne, alors que la provocation berlinoise est encore une preuve flagrante du désir d'ébranler cette paix et cette sécurité.

Ce qui se passe — a constaté à la fin de son discours J. Cyrankiewicz — dans nos Terres de l'Ouest et du Nord, sur l'Odra, la Nysa et la Baltique, témoigne du caractère définitif des accords de Potsdam. Tous ceux qui pensent selon des

catégories politiques rationnelles savent que des faits irréversibles se sont produits. La Pologne fut naguère ici, elle y est revenue pour y rester à jamais. (PAP)

LES FRUITS DE 25 ANS DE TRAVAIL

La Pologne Populaire peut être fière du travail de ses ouvriers, de ses paysans, de ses ingénieurs, en un mot de tous ceux qui l'ont créée au cours du quart de siècle qui vient de sécouler. Suivant les données statistiques internationales, la Pologne, pays faisant partie des nations moyennes de notre globe, occupe actuellement la dixième-onzième place dans le monde en ce qui concerne son potentiel économique. Dans certains domaines, l'économie nationale polonaise peut servir d'exemple à maints pays; c'est ainsi par exemple que la Pologne occupe une place de choix parmi les dix premiers producteurs mondiaux de matières premières énergétiques (charbon, lignite, gaz naturel etc.), d'acier, de minerai de zinc, d'engrais de toute sorte, de ciment, de bateaux, de soude, de tissu de laine, de fibres synthétiques, de seigle, de pommes de terre, de betteraves à sucre et de bien d'autres produits encore.

La Pologne d'aujourd'hui voisine avec la Grande-Bretagne et la République Fédérale d'Allemagne en ce qui concerne la production de houille, avec la Norvège et

l'Australie pour ce qui est de la production d'énergie électrique, avec la Hollande et le Canada pour les engrais azotés, avec la Belgique et le Brésil pour les appareils de télévision, avec la Chine et l'Inde pour le ciment, avec la France et l'Australie pour le zinc. La Pologne est non seulement devenue un producteur de première grandeur, son économie qui se développe sans cesse lui permet d'occuper une bonne place parmi les puissances exportatrices — dans ce domaine, la Pologne Populaire occupe la 17-ème place dans le monde.

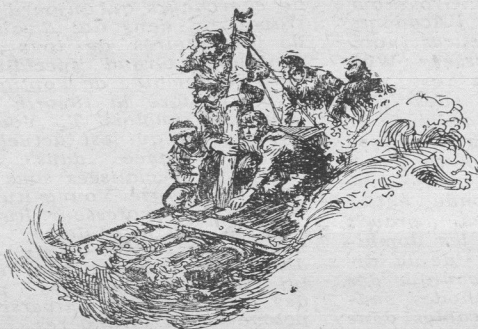
La production industrielle polonaise représente à l'heure actuelle environ 2,5 pour cent de la totalité de la production mondiale, ce n'est pas peu si l'on garde en mémoire que la population de la Pologne ne constitue qu'à peine un pour cent de l'humanité. La production industrielle polonaise calculée par rapport au nombre d'habitants du pays n'est que d'un quart inférieure à celle des pays fortement industrialisés de l'Ouest européen, tels que la France, l'Angleterre, la RFA ou l'Italie.

Le progrès accompli au cours des dernières vingt-cinq

années par le travailleur polonais est particulièrement palpable dans le domaine du revenu national. A l'heure actuelle, toujours suivant les statistiques internationales (c'est à partir de celles-ci que les grands organismes internationaux tel que l'ONU calculent le montant des cotisations devant être payées par les pays membres), le revenu national polonais par habitant atteint le chiffre de 700 dollars (contre à peine deux cents il y a une vingtaine d'années). Est-ce beaucoup ou est-ce peu? Il est assez difficile de répondre à cette question, car il faut se souvenir que le tiers au moins des Polonais ne travaillent pas d'une manière productive — ce sont en effet des citoyens n'ayant pas l'âge de travailler, car la Pologne est une des nations les plus jeunes du monde. Pour se faire une idée du niveau de ce revenu, signalons que 70 pour cent du reste du genre humain a un revenu inférieur à celui atteint par la Pologne. On le voit, les fruits de 25 ans de travail des Polonais ne sont pas les moindres. Et puis, ce n'est qu'une étape sur la voie du progrès, car l'appétit vient en mangeant.

Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



Z zaboru pruskiego Sobiesław Mrocki, który odbywał naukę w poznańskim gimnazjum, a następnie przymusową służbę wojskową, zgnębiony represjami, musiał porzucić dom rodzinny i udać się na emigrację. Nieszczęśliwy wypadek — katastrofa na morskim statku, którym płynął do Baltimore — sprawił, że Mrocki wyratowany przez inny statek, udający się do Brazylii, znalazł się w porcie Rio de Janeiro. Po kilku dniach tułaczki i poszukiwaniach środków na życie, Sobiesław znalazł biuro plantatora, który przyjmował robotników do pracy na plantacjach w głębi Brazylii.

Pełen niepokoju co do najbliższej przyszłości wszedł w pociąg wiozący setki wynędzniałych robotników. W przedziale wagonu uwagę jego zwrócił młody blondyn; okazało się, że jest to Polak rodem z Kalisza, Witold Grzymała. Od tej pory wspólnie dzielili będą losy. Co ich spotka na plantacji, jakie wrażenia wyniosą z tego nowego rozdziału w ich tułaczym życiu, czytamy poniżej.

ODCINEK 15

Ten pochód przez bagnisty las, zarośniętymi ścieżkami, trwał ni mniej, ni więcej niż pięć dni. Nareszcie, kiedy partia robotników była zupełnie wyczerpana uciążliwym marszem, zatrzymano się na niedawno wykarzowanym polu, gdzie rosło mnóstwo krzewów, na parę łokci wysokich, pokrytych owocami wielkości wiśni.

Była to owa plantacja kawy.

Pedro stanął przed domem zbudowanym z grubych pni, zaledwie po wierzchu ociosanych, uszykował partię, sam zaś z wielkim szacunkiem zameldował Murzynowi, stojącemu u drzwi, o swoim przybyciu.

Upłynął dobry kwadrans, zanim z wnętrza wyszedł właściciel plantacji, Brazylijczyk, Kreol, i bystrym wzrokiem ogarnął przybyłych.

Przegląd ten wypadł snadź dobrze, bo plantator poklepał po ramieniu Pedra, mile uśmiechającego się, potem policzył zwerbowanych ludzi, a widząc, że są zdrowi i po większej części silni, zadowolili się obejrzeniem ich z daleka; nie przemówił do nikogo ani słowa i zniknął w sieni z dwoma olbrzymimi brytanami, które miały na potężnych pyskach żelazne kagańce i wodziły dokoła siebie czerwonymi, krwią zaszłymi ślepiami.

Pedro śmiał się, snadź przyjęcie ze strony plantatora wprowiło go w dobry humor. Dał znak i Murzyni poszli za nim.

O paręset kroków od domu stało kilkanaście niedbale skleconych z gałęzi i krytych liśćmi palmowymi szałasów, dokoła leżały stosy nie uprzątniętych śmieci.

Były to pomieszczenia dla robotników.

W tej chwili jednak ludzie znajdowali się zapewne przy robocie, tylko kilkoro zupełnie nagich dzieci na widok obcych uciekło pędem i schroniło się w krzewach pobliskich.

— To ma być nasze mieszkanie?! — zawołał Mrocki ujrzawszy brudne szałas.

— Toż to kurniki! — dodał Witold.

Ale oburzenie obu naszych emigrantów wzrosło jeszcze, kiedy weszli do wnętrza. Było tam zupełnie pusto, na ziemi leżało trochę brudnych szmat, cuchnących z daleka; kilka nędznych, potłuczonych naczyń gospodarskich i innych niezbędnych sprzętów walało się na gołej ziemi. Wszędzie uderzało przybysza niechlujstwo i nędza najgorszego gatunku.

Mrockiego chciał Pedro rozdzielić z Grzymałą, ale ten energicznymi gestami dał do zrozumienia, że ani słyszeć nie chce o rozłą-

ce. Musiano więc umieścić ich w jednym szałasie, chociaż nie najlepszym.

— Bodaj ich lichy wzięto! — narzekał dalej Grzymała. — Toż psy u nas lepsze budy mają. Całe szczęście, że tu mrozów nie ma. A tak to może jeszcze nie przyjdzie najgorsza bieda na nas. Zaraz ja się wezmę i trochę porządku tu zrobię.

ROZDZIAŁ XI

NA PLANTACJI KAWY

Nasi wychodźcy nie wiedzieli jeszcze, jakiego rodzaju pracy będą od nich żądali. Witold spodziewał się, że przy kawie nie ma więcej zachodu niż przy burakach; Mrocki zaś nie miał po prostu żadnego pojęcia o tym, co go czekało. Był jednak pełen dobrej woli i zapału, pochlebając sobie, że w potrzebie nie da się innym ubiec w robocie.

Jakoż niedługo czekał na próbę swoich sił.

Na drugi dzień po przybyciu, wieczorem, zawiadomił go Pedro, który odgrywał na plantacji rolę karbowego, że skoro świt, musi iść z Witoldem i z kilku jeszcze innymi karczować puszcę pod plantację, którą zamierzano znacznie rozszerzyć.

Robotników przeznaczonych do tego wypędzono w puszcę, wydano im ostre topory i kazano przygotować ziemię pod kawowe drzewka, które miano niebawem zasadzać.

Okolice, w której leżała plantacja, była jeszcze mało zamieszkana i przeważnie pokryta starą puszcą podzwrotnikową. Pod uprawę krzewu kawowego Arellana zajęli kilkanaście hektarów, ale zamierzał rozszerzyć swoje plantacje, gdyż jak chodziły pogłoski, miano przedłużyć najbliższą linię kolejową i wówczas transport towaru nie nastęrczałby takich trudności jak obecnie, kiedy trzeba go było wywozić wielkimi dwukółowymi arbami zaprzęgniętymi w sześć par wołów albo koni.

Plantator posiadał znaczne przestrzenie, ale rosła na nich, jak rzekliśmy, stara puszcza.

Składała się ona z olbrzymich, nie znanych Mrockiemu drzew.

W wyciegu do słońca wybujały tak, iż najwyższe sosny polskie wyglądałyby przy nich jak karły. Ale nie stały one luźno, gdyż podszycie lasu stanowiły różnorakie krzewy, tak gęste, że bez maczety nie podobna się było przez nie przedrzeć. Prócz tego z gałęzi zwieszały się niezliczone pnącza tworząc gęstą siatkę. Jeżelibyś ściał jedno drzewo, to by się nie przewróciło, gdyż konary jego, splecione z sąsiedziami, uniemożliwiały upadek, a pnie drzew były nieraz tak grube, że kilkunastu ludzi, wzięwszy się za ręce, z trudnością je obejmowało.

Taką to puszcę mieli znieść sprowadzeni robotnicy, żeby przygotować grunt do sadzenia młodych drzewek kawowych.

Praca to była niezmiernie uciążliwa. Kilkunastu robotników otaczało olbrzymia i ze wszystkich stron równocześnie walili ostrymi toporami w pień.

Takie podcinanie kolosa trwało nieraz cały dzień. Potem zabierano się do sąsiedniego. Roboty miała dokończyć najbliższa nawałnica. Wicher porwał za łby podrabane kolosy i targał je. Wówczas drzewa zaczynały walić się z łomotem, pociągając się wzajemnie. Puszcza zamieniała się w stos nieprzenikniony drzewa, które szybko wysychało w promieniach podzwrotnikowego słońca. Cenniejsze gatunki z wielkim trudem piłowano na kłody i wywłoczono końmi albo wołami. Pospolitsze zaś oddawano na pastwę ognia, który obracał je w ciągu kilku godzin w warstwę gorącego popiołu, mającego użyźnić ogołoconą ziemię. Grubsze pnie opierały się jednak żywiołowi i leżały długo, wyciągając swe osmalone konary rozpaczliwie w górę.

Upał dzienny, dochodzący do pięćdziesięciu stopni, wyczerpywał ogromnie siły robotników. Ale mieli oni do czynienia i z innymi wrogami: w puszczy roiło się od moskitów, komarów i innych owadów, które rzucały się żarłocznie na ludzi i piły z nich krew nielitośnie. Mrocki i jego towarzyszy mieli popuchnięte twarze, karki i szyje, opędzali się, jak mogli, ale nie na wiele się to zdało.

W kilka dni, może w tydzień po przybyciu, Sobiesław, korzystając z wolnego dnia,

poszedł oglądać plantację; zajmowało go bowiem, w jaki sposób przyrządzają ziarna dające powszechnie ulubiony napój.

Drzewko kawowe, mające mniej więcej dwa metry wysokości, już w dwa lata po zasadzeniu zaczyna wydawać owoc wielkości naszej wiśni. Ponieważ zaś kwitnie przez osiem miesięcy, widział więc Mrocki na plantacji drzewka pokryte już to dojrzałymi, już to dojrzewającymi dopiero owocami. Zbierano je podobno trzy razy do roku, ale pracy plantacja wymagała wiele i ciągłej. Dużo czasu zajmowało okopywanie drzewek i pielienie bujnie pleniących się chwastów.

Dwaj towarzysze, którzy teraz nie rozstawali się prawie ze sobą, z ciekawością oglądali urządzenia plantacyjne. Zbiór kawy miał się rozpocząć za kilka dni, ale próbną partię owoców już zerwano. Macerowano je w wodzie, potem, wilgotne, rozcierano na walcach; miękisz owoców przez mycie w sitach oddzielano od ziarna, które w końcu suszono. Pracę tę od pewnego czasu wykonywano jednak za pomocą niedawno zakupionych maszyn. Walce blaszane o powierzchni chropowatej, obracając się, miażdżyły owoce wiśniowej barwy. Masa dostawała się do bębna z otworami, przez które ziarna wlatywały do dużego dołu z wodą. Tutaj mieszano je przez kilka godzin, rozrzućano na ziemi i suszono na słońcu przez kilkanaście dni. Potem specjalnie zbudowane młyny oddzielały skórkę od ziarna, które szło do mechanicznych sortowników. Na ostatku polerowano kawę w kręcących się bębnach.

Przy wszystkich maszynach pracowali czarni pod dozorem Mulatów albo Metysów, którzy za najmniejsze przeoczenie chłostali niemiłosiernie robotników, jak za czasów niewolnictwa. Zdarzało się, że taki przesładowany robotnik próbował ucieczki.

Murzyni opowiadali sobie dreszczem przejmujące historie o towarzyszach, którzy uciekli z plantacji.

Mrocki dowiedział się od nich oburzających rzeczy. Olbrzymie brytany, które z łatwością mogły rozerwać na kawałki najsilniejszego człowieka, były sprowadzone i trzymane na plantacji nie tyle dla zabezpieczenia jej od złodziei, bo tych w puszczy nie ma, ile dla utrzymania w karbach czarnych, a głównie do tropienia zbiegów.

Skoro tylko plantator dowiedział się o zniknięciu któregoś z zakontraktowanych robotników, których widocznie uważał za swoich terminowych niewolników, natychmiast wypuszczał za nim w trop dwa straszne brytany i dwóch dozorców.

Szli oni z psami w las i polowali na czarnych jak na dzikie zwierzęta. Zwykle tego samego dnia Murzyn, który nie mógł znieść nieludzkiego obejścia się z nim na plantacji, gdzie nie żałowano plag za najłżejsze nawet wykroczenie, był dostawiany z powrotem Pedrowi. Ten nie wdawał się nigdy w perswazje, jedyną jego mową był świst rzeźniennego bata.

Za ucieczkę wymierzano sto plag; po takim „napomnieniu” zbieg nie mógł zwykle przez tydzień podnieść się z barłogu, i to skutkowało. Pomimo prawdziwego znęcania się nad robotnikami, ucieczki nie zdarzały się często. Byli i tacy robotnicy, którym kontrakt skończył się od paru lat, a jednak siedzieli i pracowali dla Arellany; ten zaś wyzyskiwał ich niemiłosiernie.

Wędrowka po plantacji przynębiła obu przyjaciół. Zrozumieli, jak trudno będzie wytrzymać tutaj cały rok. Z ciężkim sercem szli nazajutrz do pracy. Tymczasem czekały ich nowe przykre doświadczenia. Pedro, pamiętając wrogie zachowanie się względem niego Grzymały, dokuczał mu, jak tylko mógł. Zamiast dać mu robotę przy samej plantacji, wysłał go razem z Mrockim do puszczy, gdzie nasi przyjaciele musieli „fojsać”, czyli zakrzywionym tasakiem, osadzonym na długim drzewcu, wycinać zarośla.

Zyli więc przez parę tygodni jak robinsonowie, nie widząc całymi dniami otwartego nieba ponad sobą.

Z początku Witold srodze narzekał na takie życie, ale może by się z nim pogodził, gdyby nie nowe pretensje i nowe przesładowania ze strony Pedra.

Dalszy ciąg nastąpi

Przypominamy jeszcze raz

WIELKI KONKURS

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA POLSKIEGO”

Każdy może wziąć udział w powiększeniu rodziny czytelników „TYGODNIKA POLSKIEGO”. Każdy ma szansę na wylosowanie wartościowych nagród

REGULAMIN KONKURSU

1. W konkursie ma prawo wziąć udział każdy stały prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jak również wszyscy Czytelnicy i Sympatycy pisma oraz ci, którzy pragną zostać stałymi Czytelnikami „Tygodnika Polskiego”.

2. W losowaniu atrakcyjnych nagród, które ogłaszamy obok, może wziąć udział każdy dotychczasowy prenumerator „Tygodnika Polskiego”, jeżeli zwerbuję spośród swoich krewnych, przyjaciół, znajomych co najmniej jednego nowego abonenta „Tygodnika Polskiego” i przysła pod adresem „LA SEMAINE POLONAISE” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème mandat z roczną prenumeratą, wynoszącą dla Francji 20 F, zaś dla Belgii 210 fr. belgijskich, z zaznaczeniem „WIELKI KONKURS”, oraz poda swoje nazwisko, imię i adres.

JAK ZWIĘKSZAJĄ SIĘ SZANSE

3. Im więcej nowych Czytelników, którzy za rok z góry opłacą mandata-
mi prenumeratę „Tygodnika Polskiego”, zwerbując nasz dotychczasowy prenumerator i zgłosi swój udział w konkursie, tym więcej razy bierze udział w losowaniu:

- zglaszając jednego nowego abonenta dotychczasowy nasz prenumerator bierze jeden raz udział w losowaniu nagród (otrzymuje jeden „bons de participation”).
- zglaszając co najmniej trzech nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla nich, nasz dotychczasowy prenumerator bierze pięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 5 „bons de participation”).
- zglaszając co najmniej pięciu nowych abonentów i przysyłając mandaty z roczną prenumeratą dla każdego z nich, dotychczasowy prenumerator bierze dziesięciokrotnie udział w losowaniu nagród (otrzymuje 10 „bons de participation”).

KAŻDY PRENUMERATOR MA SZANSE

4. W losowaniu nagród biorą udział też wszyscy nowi prenumeratorzy, którzy zwerbowani przez dotychczasowych prenumeratorów i za ich pośrednictwem nadeszła pod adresem redakcji mandat z roczną prenumeratą, bądź też przeczytawszy w „TYGODNIKU POLSKIM” warunki konkursu przesyła sami, bezpośrednio pod adresem redakcji („La Semaine Polonaise” — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème) opłatę rocznej prenumeraty (dla Francji — 20 F, dla Belgii — 210 fr. belgijskich) i zaznacza na mandacie „WIELKI KONKURS”.

TERMIN OSTATECZNY — 1 MAJA

5. Termin nadsyłania mandatów z roczną prenumeratą oraz dopiskiem WIELKI KONKURS, jak również zgłoszenia dotychczasowych prenumeratorów o zwerbowaniu nowych abonentów upływa z dniem 1 maja 1969 r. (decyduje data stempla pocztowego).

6. Komisyjne losowanie podanych nagród WIELKIEGO KONKURSU odbędzie się w lokalu redakcji „LA SEMAINE POLONAISE — 23, rue Taitbout — Paris 9-ème, przy udziale komisji redakcyjnej, mecenasa czuwającego nad prawidłowym przeprowadzeniem losowania oraz zaproszonych Czytelników „Tygodnika Polskiego”.

7. Wyniki losowania nagród WIELKIEGO KONKURSU i lista nagrodzonych osób ogłoszone zostaną w łamach „Tygodnika Polskiego” w dniu 1 czerwca 1969 r.

GŁÓWNA NAGRODA

Przelet samolotem PLL „LOT” z Paryża do Warszawy i z powrotem dla jednej osoby i 14-dniowy pobyt w Kraju latem 1969 r. ze zwiedzaniem Warszawy, Krakowa i Zakopanego.

NAGRODA „TRANSTOURS”

Jeden bilet kolejowy z Paryża, Lille lub Metz do Warszawy i z powrotem w ramach grupowych wyjazdów, organizowanych latem 1969 przez Biuro „TRANSTOURS” oraz 8-dniowy pobyt w Kraju ze zwiedzaniem Warszawy.

WIZYTA W PARYŻU

Przyjazd do Paryża ze swego miejsca zamieszkania i z powrotem, latem 1969 roku, 3-dniowy pobyt w Paryżu połączony ze zwiedzaniem związanych z Polską zabytków, zorganizowany przez „TYGODNIK POLSKI”.

WIĘKSZE NAGRODY RZECZOWE

Elektrofon walizkowy oraz 5 płyt polskich.
Elektrofon walizkowy.
Polski obrus wyszywany lniany + 6 serwetek.
Polski obrus wyszywany lniany
Polski komplet do kawy — lniana serweta i 6 serwetek.
Radio tranzystorowe.
Małe radio tranzystorowe.
Polska serweta wełniana (pasiak łowicki).
10 książek polskich.
8 książek polskich.
12 polskich ręczników lnianych.
Żelazko elektryczne.
Suszarka do włosów.
Elektryczny młynek do kawy.
Ekspres do kawy.
6 polskich ręczników lnianych.
oraz 20 nagród pocieszenia.



W jednej grupie z Holandią, Bułgarią i Luksemburgiem

I ZNOWU MEKSYK — tym razem celem piłkarzy

„Pierwsze koty za płoty” zwykle się mówić w Polsce przy okazji, kiedy trudno jest jeszcze dokonać pełnej oceny jakiegoś zjawiska lub na przykład formy sportowców na początku sezonu. Tak też jest i z piłkarzami. Ich start do nowego sezonu nie wypadł okazale. Wszystkiemu zresztą winna pogoda, która na dzień premiery ligowej była idealnie taka, jak mówi inne polskie przysłowie: „W marcu jak w garncu”. I rzeczywiście było jak w tym najgorszym garncu.

OPOLE TO NIE AMERYKA ŚRODKOWA

Wszystkie drużyny przygotowały się bardzo starannie do nowego sezonu, w którym rozgrywane mecze ligowe są rundą rewanżową. Wskutek fatalnych warunków atmosferycznych wszyscy mieli jednakowe szanse, a w lepszej sytuacji byli ci, którzy zdążyli już zdobyć odpowiednio dobrą kondycję. Dlatego też wszyscy dawali największe szanse Górnikowi Zabrze, który po zwycięskim turnieju po amerykańskiej i Południowej miał odpowiednio dużo czasu, by zaaklimatyzować się w Kraju.

Okazało się jednak, że przeciwnicy wcale nie zamierzają rezygnować z walki. Pierwszy w sezonie przeciwnik Górnika Zabrze pokazał pazurki. Była nim drużyna Odry Opole, która na własnym boisku wywalczyła remis i urwała kandydatowi na mistrza jeden bardzo cenny punkt.

Widać więc z tego, że czeka nas wiele emocji ligowych, a przecież będą one tylko tłem do bogatego sezonu międzynarodowego.

WSZYSTKO DLA REPREZENTACJI

Oczywiście najważniejszym wydarzeniem sezonu będą eliminacje przed piłkarskimi mistrzostwami świata w Meksyku. Ważność tych eliminacji doceniły nawet kluby ligowe, które na specjalnej konferencji przed sezonem zadeklarowały, że nie zważając na swoje własne interesy będą przede wszystkim respektowały interes reprezentacji. Oznacza to, że oddają one swoich najlepszych graczy do dyspozycji Polskiego Związku Piłki Nożnej, a dokładniej mówiąc, do dyspozycji trenera reprezentacji Ryszarda Konciewicza.

Polski Związek Piłki Nożnej powstał w Krakowie w dniu 21 grudnia 1919 roku. Działacze klubów ligowych chcą uczcić jubileusz pięćdziesięciolecia PZPN zakwalifikowaniem się reprezentacji do finału mistrzostw świata w Meksyku. W dniu 50 rocznicy narodzin PZPN będzie już wiadomo, czy ambicje te zostaną zaspokojone. Ostatni bowiem mecz eliminacyjny Polska-Bulgaria rozegrany zostanie w dniu 9 listopada w Warszawie.

TRUDNA CZY ŁATWA GRUPA?

Czy losowanie było dla Polski łaskawe, czy też nie? Na to pytanie padają różne odpowiedzi. Jedni twierdzą, że drużyna Polska miała szczęście, inni natomiast uważają, że można było wylosować jeszcze łatwiejszych przeciwników. Polska bowiem znalazła się w jednej grupie z Bułgarią, Holandią i Luksemburgiem. Mecz z reprezentacją tego ostatniego kraju rozpoczyna w dniu 20 kwietnia (w Krakowie) spotkania eliminacyjne. Następnie Polska

gra 7 maja z Holandią w Amsterdamie, 15 czerwca z Bułgarią w Sofii, 7 września rewanż z Holandią w Chorzowie, 12 października z Luksemburgiem w Luksemburgu i jak już wyżej podaliśmy 9 listopada z Bułgarią w Warszawie.

Układ kalendarza rozgrywek jest dla polskich piłkarzy pomyślny, ponieważ z groźnymi przeciwnikami, a więc Bułgarią i Holandią pierwsze spotkania grają u przeciwników, natomiast rewanżowe — na własnych boiskach, przy dopingu polskiej publiczności. Czy jednak można w eliminacjach do mistrzostw świata dzielić przeciwników na słabszych i silniejszych? Przecież to właśnie w poprzednich rozgrywkach eliminacyjnych ten „słaby” Luksemburg pozbawił polskich piłkarzy szans na awans. Bądźmy też ostrożni z wystawianiem cenzurek i lekceważeniem przeciwników.

Z zadowoleniem też mogę stwierdzić, że polscy piłkarze zdają sobie sprawę z trudnego zadania, jakie ich czeka. Jak jednak wynika z rozmów przeprowadzonych z wieloma kandydatami do włożenia reprezentacyjnej koszulki, wszyscy wierzą, że uda im się po wielu latach starań osiągnąć cel — finał mistrzostw świata.

JAK WALCZYĆ?

Ostatnie wydarzenia na boiskach piłkarskich Europy, a zwłaszcza zwycięstwo holenderskiej drużyny Ajax nad sławną Benficą jeszcze bardziej zaostriżyły czujność polskich działaczy piłkarskich i samych zawodników. Naczelnym hasłem stało się powiedzenie: „Nie ma słabych przeciwników. Z wszystkimi trzeba walczyć na największych obrotach, bez żadnej taryfy ulgowej”.

Odpowiedź na pytanie: jak walczyć? muszą znaleźć trenerzy, którzy oczywiście obserwować będą spotkania międzynarodowe rozgrywane przez przeciwników polskich piłkarzy. Kibiców piłkarstwa pasjonuje natomiast inny problem: jak ma być zestawiona reprezentacja Polski, by spełniła stawiane jej zadania? Na ten temat panuje rozbieżność opinii. Krańcową propozycję wysunęło jedno z pism sportowych, ukazujące się w Katowicach, które sugeruje, by szkielet reprezentacji stanowili Górnik Zabrze, a kilku graczy do uzupełnienia wziąć z Legii lub innych zespołów. Takie stawianie sprawy ubodło oczywiście kibiców z Warszawy, którzy proponują odwrócenie sytuacji, a więc wariant: Legia plus kilku z Górnika. Wydaje się jednak, że obie te propozycje nie są dobre. Jest to już sprawa trenerów, by w zespole zapanowało zrozumienie, zgranie i te elementy taktyki, które dają przewagę nad przeciwnikiem.

Odzywają się co prawda głosy, że przydałoby się nam teraz ci wszyscy piłkarze polskiego pochodzenia, którzy blyszczą na piłkarskim niebie innych krajów, ale polscy zawodnicy twierdzą, że i własnymi siłami wywalczą paszporty do Meksyku.

Zyczymy im powodzenia.

Wacław KORYCKI

WIELKANOCNE OPOWIADANIE HENIA

NAZYWAM SIĘ HENIU. Heniu Zubrzycki. Mam dwanaście lat. Mieszkamy pod Paryżem. Mój tata pracuje w dużej fabryce, a moja mama nie pracuje, tylko siedzi w domu albo chodzi na kawę do babusi. Babusia i dziadzia mieszkają niedaleko od nas, na ulicy



Quatorze Juillet. Dziadzia ma długie włosy, a babusia ma astmę. Ja chodzę do babusi i dziadzia w każdy czwartek, bo w czwartek nie ma lekcji. Lubię do nich chodzić, bo babusia robi kluski na parze, a dziadzia opowiada mi pełno ciekawych rzeczy i czasem nawet śpiewa stare piosenki. Raz, gdy tam byłem, przyjechała do nich jedna polska pani. Dziadzia akurat śpiewał piosenkę „Ja za wodą, ty za wodą, jakże ja ci buzi podam, podam ci ją na listeczku”. Ja

powiedziałem dziadzi, że nie rozumiem, co to znaczy. No bo jak można podać buzi na listeczku. Dziadzia odpowiedział mi, że jak urosnę, to zrozumie, że można, i już. Ciekawe. Zobaczymy. Kiedyś my o tym mówili, weszła ta polska pani. To była pani z gazety polskiej, która się nazywa „Tygodnik Polski”. Mój dziadzia abonuje tę gazetę i my też ją kupujemy. Ja też ją czytam. Najbardziej interesuje mnie opowiadanie „Diamenty i aligatory”. Czytać i pisać po polsku nauczyłem się w domu, bo u nas nie ma polskiej szkoły. Na początku nie chciałem się uczyć, bo język polski wydawał mi się bardzo trudny, więc tata powiedział mi, że jeśli się będę uczył, to dostanę prawdziwą piłkę futbolową, a jeśli się nie będę uczył, to dostanę figę. Więc zabrałem się do nauki i teraz jestem naprawdę rad, że słuchałem się taty, bo mogę czytać i po polsku, i po francusku. Przeczytałem już dwie polskie książki: „Awantura o Basję” i „Historia zóltej cizemki”.

Więc kiedy ta polska pani z gazety „Tygodnik Polski” przyjechała do dziadzi, to zapytała mnie, jak się nazywam, ile mam lat i czy umiem po polsku. To ja odpowiedziałem, że umiem, i nawet zadeklamowałem jej wierszyk „A jak poszedł król na wojnę”, bo go znam na pamięć. Wtedy ta pani mnie zapytała, co będę robił, kiedy będę duży. „Będę pisał w gazecie!” — powiedziałem. Tak mi się wtedy wydawało, ale teraz myślę, że kiedy będę duży, to chyba zostanie listonoszem, bo bardzo lubię listy, albo może będę jeździł na Księżyc. Ale najpierw muszę urosnąć. Mama codziennie robi zupę z „légumes” — nie wiem, jak to jest po polsku — bo podobno w tym jest żelazo i witaminy i od tego się rośnie. Ja myślę, że bez tej zupy też bym urosł, ale muszę ją jeść i siedzieć ci-

cho jak mysz pod miotłą, bo kiedy grymaszę, to mama zaraz się gniewa i mówi, że nie mam wstydu.

Więc kiedy powiedziałem tej polskiej pani, że kiedy będę duży, to będę pisał w gazecie, to ta pani mi powiedziała, że bym już teraz coś napisał. Taką polską „rédaction”, jak w szkole, tylko po polsku. O Wielkanocy, o tym jak ja spędzam Wielkanoc. I jeszcze dodała, że jeśli to napiszę, to ona to wydrukuje w gazecie „Tygodnik Polski”, i ja za to, że napisałem, dostanę, w prezencie ładną książkę. Dziadzia zaraz powiedział mi, że napiszę. Więc teraz piszę. Piszę w dwóch. Dziadzia siedzi obok mnie i gada, a ja piszę.

Dziadzia mówi tak: „Ino czasem psiakreka nie napisz, że ja we Wielkanoc potrafię zjeść na śniadanie tuzin jaj na twardo, bobym się musiał ze wstydu pod ziemię zapasać!” Nie wiem, po co dziadzia to mówi, bo przecież ja nie będę pisał o tym, ile on potrafi zjeść, bo to się do gazety nie nadaje. Babusia powiada, że do gazety trzeba pisać o kocankach i o pisanekach, bo to się nadaje i to jest wrzuszające. Ale ja kocanek nigdy nie widziałem, bo one kwitną tylko w Polsce, a te, co kwitną we Francji, to nie są prawdziwe. Tak twierdzą babusia i dziadzia. Chyba to prawda, bo oni urodzili się w Polsce, to wiedzą, jak tam jest. Opowiadają, że w Polsce Wielkanoc jest prześliczna. Wszyscy ludzie malują jajka i kupują szynki oraz kiełbasy. My też malujemy jajka i kupujemy polskie kiełbasy i szynkę od polskiego rzeźnika, pana Dudy, który mieszka w Vanves, ale dziadzia wciąż powtarza, że w Polsce wszystko było inaczej i lepsze. Podobno w Polsce w drugi dzień świąt wszyscy oblewają się wodą, i to porządnie. Mnie się to bardzo podoba. My też się oblewamy, ale tylko tak tro-

szkę i krótko. Dziadzia mówił, że kiedy mieszkał na Nordzie — mój dziadzia po przyjeździe do Francji pracował trochę w kopalni — to miał prawdziwą polską Wielkanoc, bo tam się wszyscy oblewali jak ludzie. Nie wiem, co to znaczy: jak ludzie. Chyba zrozumie, gdy będę duży. Bardzo chciałbym zobaczyć prawdziwe kocanki, prawdziwe pisanki i prawdziwy dyngus, tylko czy to czasem nie wygląda smutnie, bo dziadzia, kiedy o tym wspomina, to ma łyzy w oczach. Raz spytałem się mamy, co to ma znaczyć, to mama mi powiedziała, że dziadzia jest markotno, bo on takie święta jak Wielkanoc chciał spędzić w Polsce. Ja myślę, że kiedy będę duży, to zarobię dużo pieniędzy, kupię auto i zawiozę dziadzię na Wielkanoc do Polski, tam

gdzie się urodził, żeby mu już nie było markotno.

Już mnie ręka boli od pisania, i plecy też, a tu jeszcze babusia chce, żebym napisał, że my na Wielkanoc przygotowujemy święconkę, i że babusia z mamą pieką babki. Ja mówię, że dziadzia mi powiedział, że wszyscy Polacy we Francji tak robią, więc po co o tym pisać, każdy o tym wie. „Ale barana nikt nie piecze, a my pieczemy!” — złości się babusia. A dziadzia każe mi jeszcze wszystkim życzyć Wesołego Alleluja, bo tak się w Polsce mówi na Wielkanoc. Więc Wesołego Alleluja. A ode mnie pozdrowienie dla wszystkich dziadziów i babusi. Niech im w Wielkanoc nie będzie markotno. Gdy my urosniemy, zawieziemy ich na Wielkanoc do Polski.

Heniu ZUBRZYCKI

Wymieniamy korespondencje

JOELLE VASSAL — 12, rue Liancourt, Paris 14-e (France) — uczennica, lat 16, pragnie korespondować z młodzieżą z Polski w języku francuskim lub angielskim.

FRANCOISE ESPRIT — 146 bis, rue de la Colline 54, Nancy (France), studentka, pragnie nawiązać kontakt korespondencyjny z młodzieżą studencką z Polski. Prosi o listy w języku francuskim.

ANNA STRĄCZEWSKA — Boguszów, ul. Łączna 612 — ma lat 16 i bardzo chciałaby korespondować z koleżankami lub kolegami z Francji lub Belgii. Chętnie wymieni widokówki i zdjęcia aktorów. Odpisze na każdy list.

GWIDON KINASTOWSKI — Kraków 15, ul. Kazimierza Wielkiego 144/27 — prosi o pomoc w nawiązaniu korespondencji z nauczycielem polskiego pochodzenia, a zamieszkującym we Francji. Interesuje się metodyką matematyki w końcowych latach nauczenia szkoły podstawowej i w szkole średniej. Zna język angielski i niemiecki.

ELŻBIETA BAKOWSKA — Kruszwica, ul. Fabryczna 5 m 1, powiat Inowrocław, woj. bydgoskie — pragnie korespondować z chłopcem lub dziewczyną w wieku 17-18 lat.

Mgr inż. JAN DZIK — Warszawa 12, ul. Olszewska 8 m 45 — chętnie nawiąże korespondencję z Rodakami z Francji lub Belgii. Może pisać na różne tematy oraz wymieniać widokówki i znaczki pocztowe.

KRYSTYNA CIESIELSKA — Kraków 26, ul. Smolna 10 m 2 — studentka, lat 22, chciałaby korespondować w języku francuskim z młodzieżą polonijną francuską i belgijską. Interesuje się literaturą, teatrem, filmem, sportem. Zbiera widokówki i opakowania z czekolad. Lubi tańczyć i śpiewać, gra na mandolinie. Może wysłać ładne znaczki pocztowe.

HALINA KUTZNER — Inowrocław, Osiedle Piastowskie 1 m 87, woj. bydgoskie — pragnie korespondować z dziewczyną lub chłopcem w wieku od 14 do 17 lat.

MARCIN SIKORA — Kostuchna k/Katowice, ul. Dworcowa 8 m 4, powiat Tychy, woj. katowickie — z zawodu jest ogrodnikiem. Interesuje go uprawa i hodowla roślin ozdobnych w krajach o bogatej historii ogrodniczej — jakimi są Belgia, Holandia i Francja. Dlatego chciałby za pośrednictwem „TP” nawiązać korespondencję z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Prócz ogrodnictwa hoduje gołębie pocztowe. Zbiera również znaczki pocztowe.

La semaine des Jeunes



Enfin „avril jonche la terre en fleur d'un frais tapis”. Le printemps! Comme nous avons eu un hiver plutôt exceptionnellement rude — moi, il m'a fait plus d'une fois songer à la retraite de Russie en 1812, à Léon Tolstoï („La Guerre et la Paix”), et à Victor Hugo („il neigeait, il neigeait toujours...”), — le renouveau est vraiment le bienvenu. Chantons-le avec les poètes. Avec Guillaume Apollinaire:

„L'hiver est mort tout enneigé
On a brûlé les ruches blanches
Dans les jardins et les vergers
Les oiseaux chantent sur les branches
Le printemps clair l'avril léger...”

Avec Gérard de Nerval:

„Le printemps verdissant et rose

Comme une nymphe fraîche éclosée
Qui, souriante, sort de l'eau...”

Avec la marquise de Sévigné:

„Nous avons un fort aimable temps, plus d'hiver, une espérance de printemps qui vaut mieux que le printemps...”

Peut-être allez-vous vous récrier et me faire observer que quelque grande soit-elle, Madame de Sévigné n'est pas un poète au sens strict du terme, et que la phrase que je viens de citer n'est qu'assez modestement poétique. Je vous l'accorde bien volontiers; vous n'avez pas tort. Mais moi aussi, j'ai raison. Car ce n'est pas pour poétiser notre printemps à nous — le printemps français — que j'ai rapporté cette phrase de l'illustre épistolière, mais uniquement à cause de l'expression „une espérance de printemps” — en raison du fait que cette expression m'a incité à me transporter en esprit en Pologne.

Souffrez que je vous dise pourquoi.

Comme vous le savez, en Pologne, le printemps proprement dit est précédé par une manière d'ouverture, par un „petit printemps”, un préambule qu'on appelle „przedwiosnie”. On a rendu ce mot en français par „avant-printemps”. „L'avant printemps est la plus brève saison” — lit-on dans „Pologne — réalités et problèmes” (un excel-

lent ouvrage édité en 1966 à Varsovie, en français, naturellement, par les Editions Scientifiques de Pologne — je ne saurais trop vous le recommander). Cet avant-printemps se distingue par son instabilité: l'hiver s'y entremêle au printemps, la neige à la pluie, et la pluie au soleil. Quel rapport y-a-t-il entre cette primesautière saison et Madame de Sévigné? Justement, j'y viens. Voilà: pour avoir souvent entendu parler du „przedwiosnie”, et pour avoir lu des descriptions du printemps polonais, j'estime qu' „avant-printemps” ne laisse pas passer le lyrisme dont est chargé le beau mot de „przedwiosnie”. Selon moi, le seul équivalent français exact de „przedwiosnie”, c'est précisément „une espérance de printemps”...

Ce n'est évidemment là que mon opinion à moi — je veux dire: c'est controversable. En revanche, ce qui n'est pas sujet à controverse, c'est le fait qu'en Pologne, le printemps „mûr” dure environ deux mois — avril et mai. Ressemble-t-il au nôtre? Jugez-en vous-mêmes. En voici quelques vues: „Déjà la cigogne accourait, volait à son pin familier, Ses ailes blanches déployées, précoce étendard printanier. Derrière elles, par bataillons criards, venaient les hirondelles. Qui s'assemblaient autour des eaux, becquetant la boue sous le gel

Du sol, pour bâtir leur abri. Et vers le soir dans les sous-bois

On entendait le chuchotis des becasses. Des troupeaux d'oies

Sauvages planaient vers le ciel, au-dessus des frondaisons basses,

Et s'abattaient en jacassant quand elles se sentaient trop lasses,

Pour se reposer en plein champ. Tandis que les grues gémissaient

Sans cesse, dans les profondeurs du ciel bleu qui s'obscurcissait...”

C'était un extrait du Livre XI de cette somme polonaise qu'est le „Messire Thadée” de Mickiewicz (traduit par Charles Dobzynski). Voici maintenant une description d'un crépuscule printanier en Pologne due à l'un des meilleurs peintres du paysage polonais, le romancier Joseph Weysenhoff (1860—1932):

„Le crépuscule, encore plein de soleil, doré sur une moitié du firmament, mais pourchassé sur l'autre par une blancheur d'opale imbibée de violet, permettait de reconnaître que les aunes rigides, les frères bouleaux et les arbustes courts enveloppaient déjà leur ramure hivernale d'une gaze de verdure chaude, que des millions de petits glaives aigus, au vert tendre, pointaient dans les places humides de la clairière, tandis que ça et là, les flammes jau-

nes des populations criaient éloquentement que le printemps était venu...” (Joseph Weysenhoff: „Le Martre et la Fille”, traduction de Paul Cazin, Gallimard, Paris, 1930).

En Pologne, cette „gaze de verdure chaude” sert aussi d'écrin à des anniversaires (celui de la proclamation de la Constitution du 3 Mai 1791, par exemple), et à des fêtes dont les plus importantes — Pâques, le Premier mai — sont d'ailleurs célébrées dans le monde entier.

A propos de Pâques, comme c'est déjà dans trois jours, il faut que je songe sérieusement à me mettre au travail, c'est-à-dire à colorer des oeufs. Dans notre famille, on célèbre Pâques à la polonaise. Moi, je colore des oeufs, ma mère fait des babas, mon frère fait la navette entre la maison et divers commerçants polonais et nous approvisionne de toutes sortes de „metki”, „krakowskie”, „warszawskie”... Dimanche nous nous attablons tous devant le solennel „święcone”. „Ah, ça me rappelle la Pologne!” — dira à n'en point douter mon grand-père... Ce sera tout à la fois gai et émouvant. Et le lundi, nous nous emploierons toutes affaires cessantes à nous arroser mutuellement. Et vous, observez-vous encore ces vieilles et invariablement charmantes coutumes?

Je vous souhaite de joyeuses Pâques.

MARTINE

dla dziewcząt i kobiet • dla dziewcząt i kobiet • dla dziewcząt

RADY

od

serca



SZANOWNA PANI ANNO!

Spadła na mnie wielka tragedia. Straciłam męża, zostałam sama z dzieckiem kilkuletnim i zupełnie nie wiem, jak sobie dać radę. Na razie dostałam różne odszkodowania i jeszcze przez parę miesięcy będę miała z czego żyć. Ale co potem? Ja nie umiem, nie mam żadnego zawodu, nigdy nie pracowałam. Skończyłam tylko szkołę, mówię bardzo dobrze po francusku. Wyszłam za mąż bardzo wcześnie, mąż dobrze zarabiał i nie chciał, żebym ja pracowała. I co teraz mogę zrobić? Jeszcze nie zaczęłam żadnych starań. Chciałam najpierw poradzić się pani. Niech pani nie myśli, że się boję pracy, boję się tylko, że nie podołam moim obowiązkom. A nikogo nie mam, żadnej rodziny, na którą mogę liczyć. Rodzina męża jest dla mnie zupełnie obca, zresztą mieszkają w innym mieście. Bardzo proszę pani Anno o kilka słów.

BEZRADNA WDOVA

DROGA PANI!

Bardzo Pani współczuję w nieszczęściu. Rozumiem, co to znaczy stracić jedyną bliską osobę. Ale oczywiście nie można wpadać w rozpacz, trzeba myśleć o przyszłości. Powinna się pani rozejrzeć wokoło. Pójść do jakiegoś biura pośrednictwa pracy, przejrzeć gazety, gdzie czasem można znaleźć ogłoszenia. Nie ma pani żadnych kwalifikacji, więc nie może pani liczyć na jakąś dobrą i dobrze płatną pracę. Ale jest pani bardzo młoda i może pani zdobyć zawód. Należy się dowiedzieć o kursy np. stenotypistek, sekretarek czy też o kursy kroju i szycia. Myślę, że na razie trzeba

wziąć jakąkolwiek pracę, jaka się nawinie. Potem równocześnie pracując — wiem, że to ciężko, ale nie ma rady — trzeba się będzie uczyć jakiegoś zawodu.

Na pani przykładzie najlepiej widać, jak ważne jest dla każdej kobiety w dzisiejszych czasach posiadanie zawodu. Tylko to daje niezależność i pełne równouprawnienie. Myślę, że pani podoła swoim ciężkim obowiązkom, życzę tego z całego serca.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Mój syn ma kłopoty z nauką. Jest to chłopiec bardzo chorowity, nerwowy i pracowity. Ale widocznie mało zdolny. Wszystko przychodzi mu z wielkim trudem. Inne dzieci raz przeczytają, już wiedzą i umieją, on nie. Siedzi nieraz do późnej nocy, bo nie może nadążyć. Gdy coś mu się uda, gdy dostanie dobrą notę, od razu inaczej wygląda, dostownie zmienia się na twarzy. Ale to bardzo rzadko mu się zdarza. Często się spotykają go niepowodzenia i źle stopnie. Gdyby nie pracował — wiedziabym dlaczego mu się nie udaje. Ale tak — to już do prawdy nie wiem, co z tym chłopcem robić. Jestem pewna, że on jeśli nawet dobrze umie, denerwuje się i źle robi zadania. W szkole tego nie rozumieją, nie mają czasu zajmować się każdym dzieckiem. Nie mam żalu do nauczycieli, ale jest mi bardzo przykro i martwię się, bo ten chłopiec w oczach chudnie i blednie. Ostatnio nie mogę go nawet namówić do jedzenia, jest tak przejęty swoimi wynikami w nauce. Marzyłam kiedyś o tym, że będę go kształcić, że dam mu to wszystko, czego ja sama nie

miałam. Bo mnie nie było stać na naukę, dziś mogę sobie pozwolić, żeby syna wykształcić. Ale co z tego, kiedy jest taki niezdolny. Błagam, niech mi pani coś poradzi, bo to jest wielkie zmartwienie.

MATKA

SZANOWNA PANI!

Nie wierzę w to, że syn pani jest aż tak niezdolny, by przy solidnej pracy nie mógł sobie poradzić w szkole. Szkołę, a nawet uniwersytet kończą nie tylko geniusze. Kończą także bardzo przeciętni. Poziom szkoły jest dostosowany do przeciętnych możliwości dzieci i młodzieży. Dlatego myślę, że powinna pani jak najszybciej poradzić się jakiegoś lekarza, bądź psychologa. W wypadku pani syna musi być inna przyczyna trudności niż brak uzdolnień. Trudno mi oczywiście osądzać, jaka jest ta przyczyna. Ale specjaliści powinni go obejrzeć, zbadać, obserwować. Z pewnością znajdą powód i wtedy łatwiej będzie dziecku i pani pomóc. Radziłabym także udać się do szkoły i porozmawiać z nauczycielem. Dowiedzieć się, jakie uwagi mają pedagodzy. Co chłopcu zarzucają, jak oceniają jego postępy. Zdanie fachowców jest tu bardzo ważne. A ponadto, warto, żeby w szkole wiedziano o tych kłopotach, o tym, ile czasu dziecko poświęca na naukę, o jego zdenerwowaniu i chorowitości. Dziwię się, że dotychczas nie była pani na takiej rozmowie w szkole. Proszę to jak najrychlej zrobić. I nie załamywać się. Na pewno chłopiec jeszcze zakończy swoją naukę z wyróżnieniem, takie chwilowe trudności o niczym nie świadczą.

ANNA

„PORTRET SIOSTRY”



Tak zatytułowała jedno ze swych licznych płócien — obrazów olejnych Aniela Pająkówna (1864—1912). Zamieszony tu portret siostry przedstawia Helenę Barlińską, obecnie ofiarodawczynią dla Muzeum Narodowego w Warszawie dwóch portretów namalowanych przez Aniela Pająkównę. Znakomicie wychowana i wykształcona w Kraju i za granicą, artystka malarka miała w swym dorobku wiele cennych prac

malarskich — portretów, pejzaży i miniatur.

W historii jednak bardziej utrwaliła jej pozycję od dorobku artystycznego przyjaźń ze Stanisławem Przybyszewskim (1868—1927) jednym z czołowych dramaturgów i powieściopisarzy polskich, przedstawicielem modernizmu i dekadentyzmu niemieckiego i polskiego.



Aniela Pająkówna była matką Stanisławy Przybyszewskiej, również malarki, a także pisarki, która zasłynęła w latach międzywojennych jako autorka dramatów, jak np. „Sprawa Dantona”, nowej i powieści.

Zamieszczone tu zdjęcia wykonane zostały w Muzeum Narodowym w Warszawie, podczas ekspozycji, ukazującej dary społeczeństwa dla Muzeum. (K. Sz.)

NOWA METODA WCZESNEGO WYKRYWANIA RAKA

Umożliwiły one stosunkowo wczesne wykrycie schorzenia.

Ostatnio — dr Ann Haberman z Uniwersytetu Temple w Filadelfii (USA), występując na VI Amerykańskiej Konferencji, poświęconej badaniom nad nowotworami, oświadczyła, że najskuteczniejsza, gwarantująca najwcześniejsze wykrycie nowotworu w organizmie, jest zbadana przez nią metoda fotograficznej rejestracji ciepłoty ciała — tzw. metoda termografii.

Dr Ann Haberman prowadziła metodą termograficzną badania nad rakiem piersi, w

ciągu sześciu lat. Spośród 510 kobiet przebadanych dr Haberman u 32 stwierdziła schorzenia nowotworowe, z czego 27 przypadków udało się wykryć dzięki metodzie termograficznej, polegającej na fotograficznym zarejestrowaniu promieni podczerwonych wysyłanych przez piersi.

Rak piersi jest najniebezpieczniejszą dla kobiet chorobą, która zwykle prowadzi do śmierci między 40 a 44 rokiem życia. Amerykańskie Towarzystwo Walki z Nowotworami obliczyło, iż w 1968 r. na raka piersi umarło w Stanach Zjednoczonych 27 tysięcy kobiet.

KACZKA DZIWACZKA



PRZEPIŁY KRWI WYTWARZA ELEKTRYCZNOŚĆ

Badacze amerykańscy opracowali technikę wykorzystywania obiegu krwi żywej istoty jako źródła dostarczającego energii elektrycznej. W pewnym sensie odkrycie to posługuje się przepływem krwi w taki sam sposób, w jaki inżynierowie czerpią prąd elektryczny w hydroelektrowniach z energii przepływu rzek.

Do tej pory przeprowadzono doświadczenia wyłącznie na zwierzętach. Jednakże tę samą technikę można zastosować na ludziach, w celu czerpania elektryczności z ich krwiobiegu dla uruchamiania wewnętrznych przyrządów medycznych. Np. można ją użyć do uruchamiania regulatora rytmu, małego przyrządu elektronowego, pobudzającego serce do pracy u pacjenta, u którego naturalny mechanizm kontroli serca

uległ uszkodzeniu wskutek choroby.

Obecnie regulatory takie umieszcza się chirurgicznie w ciele pacjenta, a każda zmiana baterii wymaga nowego zabiegu chirurgicznego. Natomiast takie samoregenerujące źródło mocy napędzające prawdopodobnie regulator przez całe życie pacjenta.

Ten nowy system opracowany został przez grupę badaczy na Uniwersytecie Maryland. System stosowany w laboratorium na psach i królikach, był z powodzeniem używany przy różnych wariantach, w których jedną elektrodę umieszczano wewnątrz, a drugą na zewnętrznej ścianie przedsionka (górnej komory serca), wewnątrz i po prawej stronie przedsionka, wewnątrz i na lewej komorze lub wewnątrz i na

prawej komorze. Przy każdym z tych wariantów stały poziom energii elektrycznej był 2—4 razy większy od niezbędnego dla regulatora.

Biologicznie wytwarzana elektryczność była mierzona i stosowana przy wielu okazjach, ale większość tych doświadczeń dotyczyła elektrod reaktywnych — to znaczy, że elektrody były stopniowo zużywane podczas reakcji elektrochemicznej, która wytwarzała energię. Tak więc elektrody te były w istocie umieszczonymi w ciele bateriami typu galwanicznego, które zostawały w końcu zużyte. Nowa metoda posługuje się ogniwami obójnymi, czyli niereaktywnymi elektrodami platynowymi, które pozostają niezmiennie i mogą być dzięki temu używane przez czas nieokreślony.

LISTY Józefa Grzybka



PANIE REDAKTORZE!

„Weźmij jelenia albo łosia, porąb w szuki, jakie chcesz, odwarz, ustaw nacedziwszy rosółem i warz, a gdy dowiera, wlej powidła rozpuszczone octem, przysadz soku wiśniowego, słodkości, pieprzu, imbiru, goździków, cynamonu, przywarz, a daj na stół...”

Co to jest? Otóż jest to po prostu jeden z popularniejszych staropolskich przepisów na rosół. Wymyślił go w siedemnastym wieku autor jednej z pierwszych polskich książek kucharskich, kuchmistrz hrabiego Aleksandra Michała Lubomirskiego, Stanisław Czerniecki. Nie myślcie, że strześlił mi do głowy niemądry pomysł namawiania Was, abyście sobie na Wielkanoc ugotowali rosół z jelenia czy też z łosia. Poutórzyłem to dla zabawy, bo w święta nikt nie ma głowy do poważnych tematów, a również i z tej przyczyny, że aura świąteczna sprzyja wszelkiego rodzaju wyprawom w przeszłość.

Jak wyglądała Wielkanoc w dawnych czasach? Przepyszna widowiskością odznaczała się rezurekcja, to znaczy uroczyste nabożeństwo wielkanocne z procesją, w trakcie której strzelano z moździerzy.

W dawnych czasach jajkiem dzieleno się po rezurekcji, o północy. Istniał także zwyczaj, że spotkawszy się przy wielkanocnym stole, najzawziętsi nieprzyjaciele podawali sobie dłonie na znak pojednania i przebaczenia nawzajem. Stół zaś wielkanocny uginął się pod ciężarem przeróżnych szynek, mięsów, jaj, kiełbas, placków, mazurków i innych marcepanów. Nasi przodkowie mieli spust. W jednej starej książce przeczytałem, że „u księcia Świdrygiełły trwał obiad sześć godzin i najmniej sto trzydzieści potraw zawierających... Gamrat, biskup krakowski, później arcybiskup gnieźnieński zjadał na jeden raz 12 kapłonów... Niejaki Bogdan, rządcą dóbr czudnowskich, zjadał na śniadanie skopową pieczeń, gęś, dwa koguty, pieczeń wołową, ser i trzy chleby, przy tym wypijał dwie miary miodu; obiad zaś jego składał się z dziesięciu porcji wołowiny i kilku porcji cielęciny i baraniny; po nich spożywał kapłona, gęś, prosię, pieczeń wołową, skopową i wieprzową... Pewien szlachcic z województwa małoborskiego, wstawszy od obiadu, zjadał kopę jaj twardych albo pięć kuropatw...” Oczywiście, nie wszyscy dawni Polacy tak pataszowali — książka, w której to przeczytałem, zatyłowana jest „Zartocy znakomici w Polsce” — ale chyba nie będzie przesadą twierdzenie, że zarówno w dawnej jak i w dzisiejszej Polsce ludzie lubili i lubią sobie podjąć, zwłaszcza na Wielkanoc. To przecież Polacy wymyśliли przystawie: Dobra wieść, niosą jeść.

Podobnie jak przadziadowie innych nacji, nasi przodkowie lubili sobie także na Wielkanoc coś niecoś golnąć. Niektórzy trochę w zagładaniu do kieliszka przesadzali, i w efekcie wycywniali dosyć dzikie niekiedy błażeństwa. Stawetny książkę Karol Radziwiłł Panie Kochanku na przykład, gdy razu pewnego był już dobrze pijany, zaczął się rozbiierać, besztając przy tym szlachtę. Jednemu dał pas złoty, mówiąc: „Daruję, durniu” — drugiemu kontuzę: „Na, świniot!” — innemu spinkę brylantową: „Trzymaj, osie!” — innemu znowu żupan: „Weź, kpie!” Zostawszy w spodniach tylko i w koszuli, siadł na wóz, na którym była ogromna baczka napęczniona winem, i który szlachta zaczęła ciągnąć

WESOŁEGO ALLELUJA ! I SMACZNEGO JAJKA !

po ulicach Nowogródka. Wóz co kilkanaście kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nadstawiał i książkę czop od beczi odykał...

O tym, jak sobie z takimi gagatkami radzono, informuje wydana w r. 1794 „Apteczka Lekarstw Domowych”. Stoi tam m. in. tak: „Kiedy komu chcesz gorzałkę, wino albo inszy trunek obrzydzić, weźmij żabę zieloną, ale nie ropuchę, ususz ją i utrzyj na proszek, dawaj tego proszku w trunku jakim pijakowi pić, możesz mu tym obrzydzić pijaństwo”. „Apteczka” poucza również, jak pijanego otrzeźwić: „Kiedy chcesz przedko pijanego otrzeźwić, daj mu pić dużo octu, możesz mu dać także jeść kapustę surową kwaśną, pomaga i to”.

Na dymiące czupryny skutecznie musiał działać także dyngus. W dawnych czasach „w poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, a we wtorek i dni następne kobiety mężczyzn”. Stąd chyba przysłowie: Od Wielkiejnocy do Zielonych Świątek, można dać śmigus i w piątek. „Oblewano się rozmaitym sposo-

bem — zanotował jeden z pamiętnikarzy. — Amanci, chcąc tę ceremonię odprawić bez przykrości, skrapiali lekko różaną lub inną pachnącą wodą po rękę, czasem po gorsie, małą jaką sikawką albo z flaszczyki. Ci, którzy swawalą nad dyskrecją przekładali, oblewali i damy wodą prostą, chlując garnkami, sklenicami lub dużymi sikawkami prosto w twarz albo od nóg do góry”.

No, dość tego gadu-gadu. Wracajmy tedy z dawnej Polski na ziemię, do naszych osiedli, siadajmy do święconego. Pomyślmy o tym, że Polska jest tylko jedna, i że choć dzieli nas czasem odmiennie zapatrywań na takie czy inne sprawy, to jednak przy tym pachnącym Ojczyzną mięt wielkanocnym stole, do którego wszyscy jak jeden mąż zasiadliśmy, należy wzorem naszych dziadków wyciągnąć ku sobie przyjazną dłoń.

Staropolskim zwyczajem życzę Wam, Drodzy moi, wesołego alleluja i smacznego jajka.

Józef Grzybek z Nordu

WZÓR „PISZE SIĘ” WOSKIEM NA SKORUPCE A NASTĘPNIE JAJKO FARBUJE. STĄD: „PISANKA”



ŻAŁOBNA KARTA WYCHODZSTWA

Z szeregu Wychodźstwa polskiego i grona ludzi związanych w pewnych okresach z emigracją ubyli ostatnio:
JOZEF MAJCHRZAK, długoletni aktywny działacz Związku Polaków „Zgoda” w Niemczech, romady Bochum-Dahlhausen (Westfalia), zmarł 1.XI.1968 r. Zył lat 68.
WALENTY SZYMCAK, urodzony 30.XII.1888 r. w Rudzie (Poznańskie) członek polskich zespołów śpiewających na terenie Westfalii od 1908 roku, działacz Tow. „Jedność” i Związku Polaków „Zgoda”, zmarł 19.II.1969 r. w Dortmundzie. Zył lat 80.
MARIA RENCZKOWSKA, urodzona w Polsce w 1882 r., jedna z najstarszych w Brazylii Polek-emigrantek, długoletnia działaczka społeczna, zmarła 20.XII.1968 r. w Apucaranie (Pin. Parana). Zył lat 86.
JADWIGA FLIGER, urodzona w Bloku k/Olsztyna, zmarła 4.XII.1968 r. w Apucaranie (Brazylia). Zył lat 69.
WALERIAN BEKISZ, urodzony na Litwie, st. ogniomistrz, uczestnik kampanii wrześniowej i kampanii włoskiej, odznaczony licznymi medalami polskimi i brytyjskimi, zmarł w Londynie 13.I.1969 r. Zył lat 63.
ROMAN JANUSZ KOBYLINSKI, urodzony w Gdańsku, w czasie drugiej wojny uczestnik ruchu oporu, po wojnie działacz na terenie Niemiec i Australii, zmarł 16.XII.1968 r. w Melbourne (Australia). Zył lat 46.
TADEUSZ WIEKOWSKI, ps. „Czumak”, b. oficer AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, odznaczony licznymi medalami, zmarł w Buffalo (USA) 5.III.1969 r. Zył lat 52.
HELENA KUTLER długoletnia pracownica Polskiego Czerwonego Krzyża w Kairze, zmarła 10.II.1969 r. Zył lat 63.
ADAM TRUSCOME, żołnierz AK, odznaczony licznymi orderami polskimi i brytyjskimi, zmarł 20 lutego 1969 r. w Londynie. Zył lat 74.
MICHAŁ HALICZ-BLOMBERG, b. artysta scen warszawski, członek ZASP, zmarł w Londynie 1.III.1969. Zył lat 80.
WŁADYSŁAW KOZULA ur. we Lwowie, żołnierz WP, wykładowca Polskiego Gimnazjum w Valivade (Indie) zmarł 6 lutego 1969 w Sydney (Australia). Zył lat 67.
MIECYSŁAW BUCZYNSKI, kapral kompanii sanitarnej I Samodzielnej

Brygady Spadochronowej w Anglii, zmarł 29 stycznia 1969 w Szkocji.
HILARY MIKOSZA, kapitan Żegluga Wielkiej, odznaczony Krzyżem Walecznych i OBE, zmarł 5 lutego 1969 w Londynie. Zył lat 74.
KONRAD SOBOCIUK, żołnierz II Korpusu, uczestnik walk o Monte Cassino, zmarł 17 stycznia 1969. Zył lat 66.
LUDOMIR KRYŃSKI, plk WP, kawaler Orderu Wirtuti Militari i wielu innych odznaczeń, zmarł 26 stycznia 1969 r. w Leicester.
JOZEF MELLER b. kombatan oba wojen, odznaczony licznymi medalami belgijskimi, francuskimi, angielskimi i amerykańskimi, zmarł w Sallaumines (Francja), 23 lutego 1969. Zył lat 71.
STEFAN BLUGE st. sierż. Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, zmarł 12 lutego 1969 w Londynie. Zył lat 55.
STEFAN DOPIERAŁA, lotnik, zmarł w Anglii 26 lutego 1969 r. Zył lat 53.
SYLWESTER NOWAK, ur. w Pyzdrach nad Wartą, uczestnik walk w ruchu opo- w Thieu (Francja) 4 lutego 1969. Zył lat 72.
Ignacy Wileczyński dyrygent chóru kościelnego i organista, zmarł 11 lutego 1969 w Abscon (Francja). Zył lat 51.
EDWARD HORSKI, ur. w Busku, st. sierż. Brygady Karpackiej, tubrückezyk, inwalida wojenny, odznaczony m. in. Krzyżem Zasługi i Krzyżem Monte Cassino, zmarł 15 grudnia 1968 w Bradford (Anglia). Zył lat 67.
KATARZYNA SZYSZYŁOWICZ, długoletnia nauczycielka polska we Francji, zmarła 2 marca 1969. Zył lat 73.
ZYGMUNT LILIENTHAL, doktor praw, adwokat, b. dziekan Izby Adwokackiej w Krakowie, zmarł 1 marca 1969 w Londynie.
STANISŁAW GUSTAW ROHM, plk, legionista, inwalida wojenny, odznaczony licznymi orderami, zmarł 21 lutego 1969 w Londynie.
NORA RANSOM, b. nauczycielka gimnazjum polskiego w Stowell Park (Anglia), zmarła 4 lutego 1969.
WŁODZIMIERZ PIOTR KRZYŻANOWSKI, inżynier, kapitan pilot PSP, zmarł 28 lutego 1969 w Altrincham koło Manchester (Anglia). Zył lat 60.



Z ociepleniem temperatury wiosna rozciąga znow swój nowy urok, pokrywa kwieciami drzewa w ogrodzie i w lesie, a na zielonym dywanie łąk i trawników wyszywa barwne kobierce z kwiatów. Ptaki przelotne powracają w rodzinne strony, a z nimi i kukułka, o której mówi się, że gdy zakuka na goły las — to będzie głodny czas; a gdy zakuka w zielonym gaju — spodziewaj się urodzaju.

W ogródku warzywnym rośliny nie rosą jeszcze „w oczach”, bo i przymrozki straszą, ale z coraz cieplejszymi dniami pójda coraz szybciej „w górę”.

CO ROBIĆ W KWIECNIU?

Gdy wysiew nasion nie został jeszcze ukończony — musimy się śpieszyć, aby to wykonać do połowy miesiąca. Dalej: sadzimy sadzonki różnych sałat, kapusty, szuflerów wczesnych, porów, cebuli. Im prędzej, tym mniej później podlewać. Trzeba pomyśleć przy tym o kolejności zbiorów, aby dobrze użyżniona ziemia nie leżała odłogiem.

Wczesne ziemniaki również sadzimy na zagonie. Dla wczesnych odstęp w linii 45 cm, dla późnych — 60—70 cm. W drugiej połowie miesiąca siewmy fasolę (haricot nains), choć to trochę ryzykowane. Można ten wysiew przyspieszyć i posadzić fasolę w doniczkach lub skrzyneczkach, umieszczonych w ciepłym, nawet ciemnym lokalu, a gdy groźba przymrozków minie, rozsadzamy już w ciepłą ziemię na działce.

Parę słów o przykrywaniu nasion. Przykrycie nasion ziemią płytsze bywa wiosną, a głębsze porą letnią; płytsze na ziemi łustejsze, głębsze na chudej. Na ogół ziarno winno być przykryte warstwą dwa razy grubszą aniżeli grubość danego ziarna.

Dalsza praca na zagonie to: wysiew rzepy, wczesnej marchwi, redycki. Oczyszczamy też rośliny, które zimowały, spulchniamy ziemię i osadzamy patyki na działce małego groszku. Pamiętajmy o uporządkowaniu działki truskawek. Na przygotowanych kwadracikach ziemi siewmy późną kapustę, białą i czerwoną i tak zwaną *Marcelin à grosse tête*, podobnie *caffory de Naples* i kapustę brukselską, aby w końcu czerwca mieć własne sadzonki. Siewmy też czerwone buraczki na sałatę, a w inspekcje lub pod przykryciem melony, oberżynę i selery oraz pomidory.

A CO DO ROBOTY W SADZIE?

Jak co roku trzeba zdezynfekować drzewa, szczególnie jabłonie i grusze, gdy pęk kwiatów nie rozwijają się jeszcze. Szkodnika, który niszczy kwiaty, uśmierca się przy pomocy tego oprysku wiosennego albo proszkiem pochodnym od DDT, tak samo przed pęknięciem pąków. Drzewa jabłoni zagrożone mszycami (puceron lanigère) chronić można przy pomocy specjalnego płynu, a rozpylacz kierujemy wtedy na koronę drzew unikając liści. Wiemy, że gdy zniszczymy pierwsze z siedmiu rocznych pokoleń mszyc, będziemy mieli spokój w ciągu całego lata. W początku kwietnia szczepi się również drzewa na ukos, a w połowie miesiąca w klin. Powstałe rany trzeba tak obłożyć maścią, aby powietrze nie dochodziło.

A W OGRÓDKU KWIECNYM?

Warto trochę czasu przeznaczyć i uprawie kwiatów, które w zamian dają wiele przyjemności i upiększają osiedla ludzkie. Gdy nie ma się wiele wolnego czasu, trzeba hodować kwiaty wieloletnie, i tak rozplanowane, by od wczesnej wiosny do późnej jesieni kwitły kolejno. Powiedzmy jeszcze, że bulwy kwiatowe sadzić trzeba na 4—6 cm głęboko, ale to zależne jest od wielkości. Sadzić należy w ziemi nieciężkiej. Wygrabić trzeba również trawnik, uwałować go, lub założyć nowy, wysiewając trawę *Ray-gras* lub *Lawn-grass*. Często podlewać! Alejki porośłe trawą lub perzem oczyszczają płyn Necrol (1 kilo Necrolu na 80—100 litrów wody, najlepiej deszczowej). Gdy ziemia sucha, zrosić wodą, a gdy już wsiąknie, polać Necrolem (jeden litr na metr kwadratowy). Po paru dniach trawa niszczy się. Przyczyna się również żywopeł, sadzi różę do 15 i zasila ziemię nawozem sztucznym, ale rozpuszczonym w wodzie.

WASZ OGRÓDNIK

La Boutique Polonaise

25, rue Drouot PARIS 9^e

PLYTY MAZOWSZA

- W związku z przyjazdem Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze” w końcu kwietnia i na początku maja do Francji, poleca niżej wymienione płyty:
- XL 0141 vol. 1 **SPIEWA ZESPOŁ LUDOWY PIESNI I TAŃCA „MAZOWSZE”**
Ej, przeleciał ptaszek — Kądziołeczka — Dwa serduszka — W olszynie — Geś wodą — Oberek opoczyński — Cyt, cyt — Nie zginaj kaliny — Szyszki — Pod borem — Świeci miesiąc — Łowiczanka 22,00 F
- XL 0142 vol. 2 **SPIEWA ZESPOŁ LUDOWY PIESNI I TAŃCA „MAZOWSZE”**
Kukułeczka — Do ślubu Marysiu — Przepióreczka — Trudno — W kądzielańskim boru — To i hola (Jada goście, jada) — Bandoska — Polonez warszawski — Laura i Filon — Co ja myślę — Ogarek — Polka tramblanka — Mazowsze — O dzieci ci przeszłości 22,00 F
- XL 0143 vol. 3 **SPIEWA ZESPOŁ LUDOWY PIESNI I TAŃCA „MAZOWSZE”**
Furman — Przyśpiewki wielkopolskie — Wyszyłabym za dziada — Kawaliry — Dziura w desce — Krakowiaczek — Przyśpiewki żywieckie — Zaloty — Muzyczka — Cyranezka — Dolina — A czemuż nie przyszedł 22,00 F
- XL 0189 vol. 4 **SPIEWA ZESPOŁ LUDOWY PIESNI I TAŃCA „MAZOWSZE”**
Ukochany kraj — Warszawski dzień — Na warszawskim bruku — Sen Marysi — A tu jest Warszawa — Czy prawda to — Dwie Marysie — Jak przygoda, to tylko w Warszawie — A na onej górze — Płynie woda — Przyszła kryśka na Marytyska — Oj tęskno mi — Żołnierz i panna — Cim cilimcim — Wiązanka melodii cieszczyńskich 22,00 F
- Posiadamy również płyty „Mazowsza” 45 T (na każdej płycie są nagrane 4 pieśni) 8,00 F
Do cen powyższych doliczamy koszty przesyłki pocztowej. Katalogi płyt na żądanie.

RADIOODBIORNIKI ■ TELEWIZORY

■ Lodówki, maszyny do prania

i inne artykuły gospodarstwa domowego ■

LENG-PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

Notatnik sportowca

SPORT SZKOLNY

GAUTHERETS. W zawodach piłki nożnej w drużynie Gautherets, która wygrała turniej, występowali w kat. beniaminów m. in. Jean-Paul Janicki, Jean-Jacques Dubicki, Daniel Czajkowski, Serge Zolniercz. W kat. minimów wygrała reprezentacja CEG z St. Valier, w której grali m. in. Serge Janicki, Bernard Czapliski, Jean-Claude Czajkowski, Luc Tomaszek, Jean-Paul Banasiak, Jean-Marc Pietryga, François Paliszczak.

BRUAY-en-ARTOIS. W spotkaniach młodzieżowych o puchar Syndykatu Inicjatywy w zespole Prixit występowała następująca uczniowie: Mucha, Bredow, Kowalski I, Kowalski II, Zbiegł, Pawlak, Kremkowski, Rumiński, Meger i Wróbel. W pozostałych zespołach grali Witczak, Olejnik, Warot.

BRUAY-en-ARTOIS. W okręgowym biegu na przełaj, urządzonym przez Amicale Lique wyróżnili się m. in. w kat. poussins: P. Dragenowicz 3 (Gauchy), M. Grzelakowski 4 (Marles), w kat. minimów: B. Zielonka 2 (Bruay), R. Zawalisz 3 (Calonne), Semczak 13 (Lillers), w kat. kadetów: M. Krzemianki był 9 (Auchel) M. Grudziń 18 (Auchel) i F. Konińska 25 (Busnes).

PIŁKA NOŻNA

GUEGNON. Bardzo duży sukces sportowy odniosła miejscowa drużyna piłki nożnej, która zaj-

muje średnie miejsce w tabeli honneur, eliminując zawodowy zespół pierwszej ligi francuskiej z dalszych rozgrywek pucharowych Francji. Bohaterami byli: Szyrba i Duch, którzy dwoma celnymi strzałami pokonali na własnym boisku pewnych siebie zawodowców. Wynik 2:0 dla Guignon. Cała Burgundia jest dumna z niespodziewanego sukcesu, który po raz pierwszy zaprowadził ich drużynę do 1/8 finału Francji. Najlepszymi graczami byli w ataku: Szyrba, Duch i Dziubek w obronie.

B. DOWOJNA-BIENAIME

TEUMACZKA PRZYŚPIEGŁA PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle PARIS (5^e)

TELEFON: ODEon 41-17 METRO: PONT-MARIE

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się.

Ostatnio urodzili się:

St. Etienne: Chantal Szymańska, Douai: Fryderyk Iskierka, David Kosmacz, Nathalie Chroszczyska, Billy-Montigny: Stefan Domagała, Betlhune: Henryk Zalewski, Noeux-les-Mines: Natalia Ciszewska, Veronique Marcinkowska, Avion: Martine Tuczyńska, Olivier Bobkiewicz, Christophe Jedraszczak (Eleu), Alice Matuszkiewicz, Waleria Kasprowiak, Basse-Yutz: Marie-Odile Łagękowska, Auchel: Isabelle Danielczak (Lumbres), Myriam Pask, Bruay-en-Artois: Sabina Urbanak, Montceau-les-Mines: Geraldine Szramowska, Bruno Zmyślony, Henin-Liétard: Stefan Czubek, Cathy Idkowiak, Fryderyk Jackowski, Fryderyk Marciński, Cathy Tobisz, Thierry Ruda, Natalia Kosydar, Liévin: Christine Kuch, Pascal Danielewicz, Raimbeaucourt: Romuald Chachulski, Gerald Protokowicz, Metz: Nadia Szymczak, Rombas: Karline Pasternak.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych!

W Lille urodził się ostatnio Hervé PO-

ZIEMSKI, wnuczek zasłużonego działacza emigracyjnego, prezesa Association des Anciens Combattants Alliés en Europe i Związku Uczestników Polskiego Ruchu Oporu. Rodzicom małego Hervé, Dziadkowi i całej Rodzinie pp. Pozienskich-Hornart składa „Tygodnik” serdeczne gratulacje.

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół małżeństwa zawarli ostatnio:

Liévin: Christiane Czerniak i Raymond Grześkowiak, Anne-Marie Delarue i Ryszard Barczak. **Noeux-les-Mines:** Jocelyne Mailly i Alfred Siwiński, **Hersin-Coupigny:** Regina Paluszkiwicz i Jacques Gola, **Montceau-les-Mines:** Gilberta Garchonnet i Stanisław Krysiński, **Bully-les-Mines:** Liliane Delatre i Max Jabłoński.

Nowożeńcom życzymy pomyślności i tradycyjnych stu lat!

ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

Liévin: Ryszard Burzyński, lat 28, Marianna Makowiecka z domu Sikorska, lat 62, Charles Machaczek, lat 61, Leon Szymański, lat 67. **Amneville:** Andrzej Maradyk. **Metz:** Maria Velikaniuk z domu Obłąk. **Noeux-les-Mines:** Francis Matuszewski, lat 49. **Avion:** Marianna Czarnecka z domu Chmielewska, lat 63, **Billy-Montigny:** Marguerite Jasińska z domu Sciebur. **Douai:** Marianna Stawicka z domu Balcer, lat 69. **Ostricourt:** Wiktoria Giszczyńska z domu Nowaczyk, lat 70. **Auby:** Ludwika Bogdańska z domu Zielińska, lat 80. **Sains-en-Gohelle:** Pelagia Olejniczak z domu Zachwyc, lat 79. **Talange:** Władysław Różański. **Marles-les-Mines:** Teodor Roszyk, lat 58, Stanisław Podymski, lat 55. **Blanzj:** Antoni Skorupiński, lat 77. **Henin-Liétard:** Cecylia Hylek z domu Zbiłska (Douges). **St. Etienne:** Bronisława Jasińska, lat 61, Adam Grzelak, lat 75, Franciszek Kosmala (Le Chambon), Henryk Staron, lat 58. **Courcelles-les-Lens:** Angela Paciorek z domu Collias. **Montceau-les-Mines:** Ignacy Olejnik. **Cité J. d'Arc:** Władysław Przybylski, lat 70. **Walleres-Arenberg:** Czesław Ciesielski.

Rodzicom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Né il y a 64 ans en Westphalie, M. Jean Dudkiewicz de Lens (Pas-de-Calais), est venu en France en 1922, à l'âge de 17 ans. Il a exercé le métier de mineur (pendant 30 ans; il est retraité depuis 1960), et il a également travaillé comme traducteur. Mais il s'est aussi, et même surtout, occupé de musique. „Je joue du violon, du piano, et du saxophone — nous-a-t-il expliqué. — J'ai étudié pendant deux ans dans un conservatoire en Westphalie. En France, j'ai commencé par jouer à Marles-les-Mines, dans un orchestre fondé par les émigrés polonais; ensuite, j'ai fait partie de „L'Harmonie” et de la „Symphonie” d'Auchel; j'ai joué dans les salles de cinéma au temps du cinéma muet.”

Mais M. Dudkiewicz n'est pas seulement un excellent musicien, c'est aussi un talentueux compositeur. „Je compose depuis de nombreuses années — dit-il. — Inspiré par la musique populaire polonaise, j'ai écrit beaucoup d'obereks” et de polkas. Mais j'ai aussi fait des tangos — des tangos français, des tangos polonais, et — surtout — des tangos typiques. Au total, j'ai composé quelque 230 morceaux. 60 d'entre eux ont été enregistrés sur disques — par les orchestres Kubiak, Nowak, Kmiecik, Ledun et Alex Flament. Depuis 1951, je suis membre de la SACEM (société des compositeurs)”.

O polskich muzykach

PANA JANA DUDKIEWICZA z LENS ROMANS z MUZYKĄ



— Urodziłem się 64 lata temu w Westfalii. Do Francji przyjechałem z rodzicami w 1922 r. W Lens mieszkałem od 1946 r. Zanim osiedliłem się tutaj na Fosse 2, mieszałem kolejno w Calonne-Ricouart, Auchel, Roubaix, a także i w Loos, gdyż pod koniec wojny Niemcy wsadzili mnie do tamtejszego więzienia, i w kilku innych jeszcze miejscowościach. Mam poza sobą 30 lat pracy w kopalni. Od 1960 r. jestem na emeryturze. Przez wiele lat pracowałem także jako tłumacz. No, a poza tym przez całe życie prowadziłem romans z muzyką...

Naszym rozmówcą jest kompozytor z Lens (Pas-de-Calais), p. Jan Dudkiewicz.

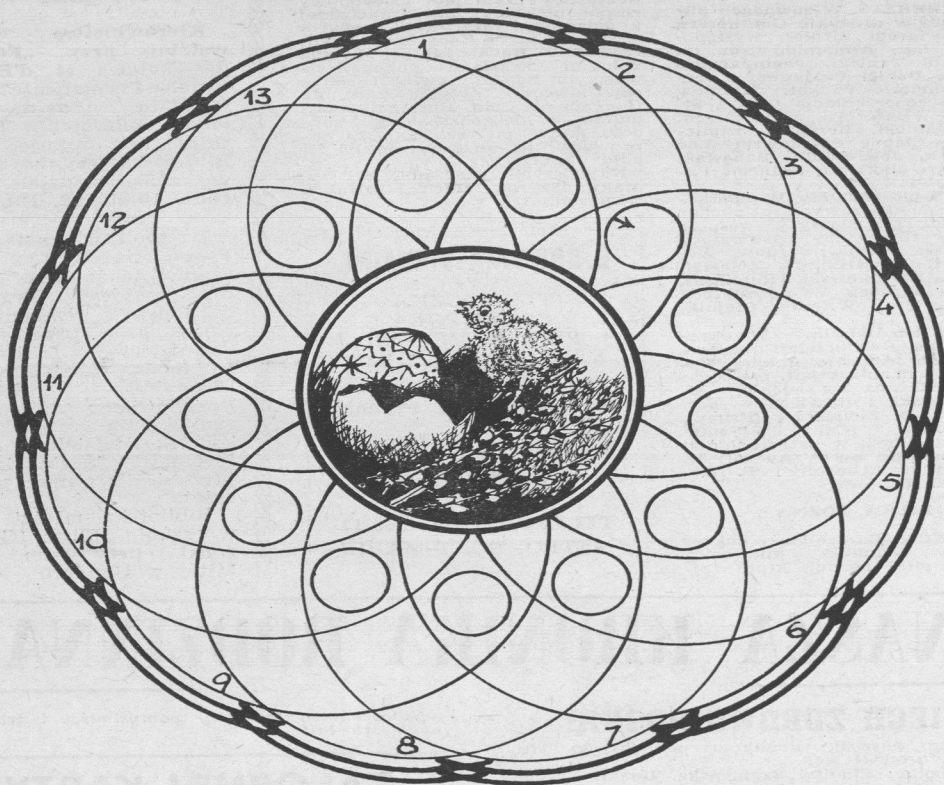
— ...Muzyką param się od dwunastego roku życia — ciągnie dalej p. Dudkiewicz. — Najpierw byłem tylko skrzypkiem, z czasem jednak nauczyłem się grać także i na saksofonie, i na fortepianie. W Westfalii przez dwa lata uczęszczałem do konserwatorium.

Po przyjeździe do Francji zacząłem grać na zabawach. Przeciętnie „odprawiałem” co roku jakieś sto zabaw. Grywałem także z jednym kolegą w kinie (filmy były wtedy nieme, więc kina zajmowały muzykantów — robiliśmy ilustrację muzyczną). Po jakimś czasie założyliśmy my, emigranci polscy — orkiestrę. W Marles-les-Mines. Święta to była orkiestra! Grali w niej bandeonści, skrzypkowie, wiolonczeliści... Niektórzy z nas — Stanisław Antoniewski na przykład i ja, Dudkiewicz — jeszcze żyją... Byłem również przez okragle dziesięć lat członkiem „Symphonie” w Auchel. Przez kilka lat należałem także do tamtejszej „Harmonie”. W Auchel na ogólną liczbę czterdziestu skrzypków było trzydziestu skrzypków Polaków... Grałem także na balach w Roubaix. No i przez siedemnaście lat grałem w znanej orkiestrze Alex Flament. Jak widzicie, nagrałem się w życiu co się zowie. Gram i dziś jeszcze, ale teraz zadowalam się dwudziestoma balami rocznie. Trzeba zacząć się oszczędzać.

Od bardzo wielu już lat zajmuję się również komponowaniem. Do SACEM, to znaczy do stowarzyszenia kompozytorów, należą od 1951 roku. W sumie skomponowałem około 230 utworów. Piszę głównie oberki i polki — do pisanja puzdzila mnie polska muzyka

ludowa oraz tanga. 60 moich kompozycji zostało nagranych na płyty. Nagrały je znane tutejsze orkiestry — orkiestra Stefana Kubiaka, orkiestra Bolesława Nowaka, orkiestra Franciszka Kmiecika, orkiestra Alex Flament, orkiestra Ledun. Do najbardziej udanych swoich rzeczy zaliczam nagraną przez Stefana Kubiaka „Naszą polkę” i „Wesoło u nas” (to też zostało nagrane przez Kubiaka), tanga „Matczyzny głos”, które spopularyzował Bolesław Nowak, oberki „Hulaj dusza” i „Do tańca”. Niezłe są chyba także nagrane trzy lata temu przez Nowaka: tango „Czterdzieści ósme urodziny” i polka „Dla młodej pary”. Jeśli idzie o teksty do moich kawałków, to autorami ich są niejący już dziś ksiądz Grabas, który używał pseudonimu C. Modrak (à propos — ja też posługuję się pseudonimem, i to bardzo egzotycznym — Juan Dinardi), i p. Krukowski. Co by wam tu jeszcze powiedzieć? Może to, że jedna z moich kompozycji zawędrowała do tutejszych szaf grających? Na wszelki wypadek podam wam także nazwy firm, które wydały płyty z moimi kawałkami. Może któryś z czytelników waszego artykułu zechce zapoznać się z moją muzyką. A więc: Pathé-Marconi, Ducretet-Thompson, Riviera... Czy nadal komponuję? Oczywiście! Bywa, że nawet i w nocy.

Rozrywki umysłowe



ROZETKA ŚWIĄTECZNA

Prosimy odgadnąć 13 wyrazów 5-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je prawoskrętnie dośrodkowo do podanego rysunku, mając na uwadze, że początkowe litery wszystkich tych wyrazów są jednakowe. Litery, które się znajdują w polach z kółkami, czytane w kierunku ruchu wskazówek zegara dadzą hasło zadania.

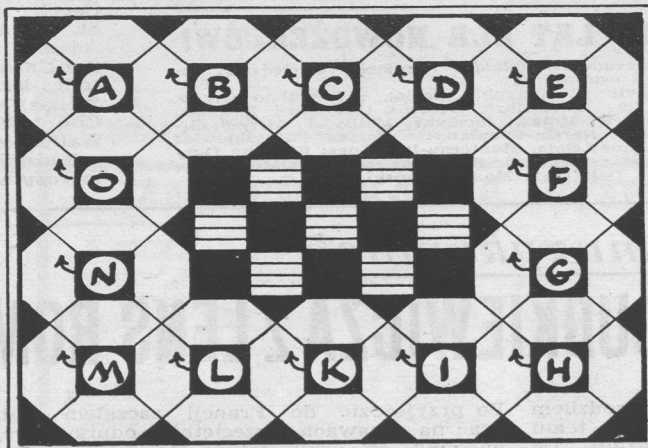
ZNACZENIE WYRAZÓW:
1) zobowiązanie słowne, obietnica, często gwarantowane honorem, 2) zwisający stózek zamarzniętej wody, 3) droga o twardej nawierzchni z kamienia lub asfaltu, 4) gęsty roztwór cukru w wodzie lub w soku owocowym, 5) służą do chwytania dzikiej zwierzyny przez kłusowników, 6) zręczność, pomysło-

wość, zaradność życiowa, 7) zamach na króla lub królową na szachownicy, 8) dawny prymitywny piług, 9) przy takiej ilości kucharek nie ma ponoć co jeść, 10) chodzi zwykle bez butów, 11) ostro zakończony czubek lub rasa psów, 12) wielonasienny owoc grochu lub fasoli, 13) grupa wyznawców religii.

KOŁÓWKA

Prosimy odgadnąć 14 wyrazów 4-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je dookoła liter w kółkach. Początek i kierunek wpisywania poszczególnych wyrazów wskazują strzałki.

ZNACZENIE WYRAZÓW:
A) dwadzieścia cztery godziny, B) silnie rozwinięte, atletyczne ramiona, C) tylna część kadłuba statku, D) zastaw w grze towarzyskiej, E) mysia dziura, F) pastwisko górskie lub wielka sala fabryczna, G) ogród spacerowy, H) do wody, w dal, wznwyż lub o tyczce, I) znak niezupelnego pęknięcia, skaza, K) wewnętrzny mechanizm zegarka, L) nocny ptak drapieżny, symbol mądrości, M) ochronne nakrycie głowy



górników lub motocyklistów, N) po Wiśle druga co do wielkości rzeka w Polsce, O) długodystansowe zawody samochodowe na wyznaczonej trasie.

Rozwiązania prosimy nad-

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z PRZYSŁOWIEM Z N-ru 11

DLA POLAKÓW OJCIEC KRĄKÓW, A MATKA WARSZAWA.

POZIOMO: 1) dekolt, 4) prototyp, 8) odmowa, 9) pirat, 10) nów, 11) indeks, 12) por, 13) laska, 17) grabarz, 18) kompres, 21) pasja, 24) rum, 26) oferta, 27) mui, 28) polor, 29) ujście, 30) sympatia, 31) Hawana.

PIONOWO: 1) drobiaz, 2) komoda, 3) transport, 4) potwarz, 5) topiel, 6) termos, 7) patera, 14) Alpy, 15) zbój, 16) kocmolu, 19) sztafeta, 20) gromada, 21) podpis, 22) siałom, 23) awaria, 25) Grecja.

syłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NAGRODY KSIĄŻKOWE.

TV DU 6 AU 12 AVRIL

PREMIERE CHAINE.

TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.
ACTUALITES REGIONALES — 19.30 (sauf le dimanche).
MIDI-MAGAZINE — 12.30 (sauf le dimanche).
CONTACT — 18.21 (sauf mercredi et dimanche).
TOTAL 3 000 — 18.30 (sauf le dimanche).
PEPIN LA BULLE — 19.15 (sauf le dimanche).
LES OISEAUX RARES — 19.40 (sauf samedi et dimanche).

DIMANCHE 6 AVRIL — PAQUES.

11.00. Eurovision: Messe de Pâques en l'Eglise Saint-Ignace à Francfort-sur-le-Main.
12.00. Eurovision: Benediction Pontificale „URBI et ORBI” transmise depuis la Place St-Pierre à Rome.
12.30. Discorama.
13.15. De côté de chez nous.
13.40. Chevalier seul.
14.30. Télé-Dimanche.
17.10. „Le Trou Normand” — un film de Jean Boyer (Bourvil, Brigitte Bardot).
18.45. Ouvrir les yeux — une émission d'Eric Ollivier.
19.30. „Fortune”.
20.55. „Le faux coupable” — un film d'Alfred Hitchcock.
22.35. Vocations — une émission du Service de la Recherche.

LUNDI 7 AVRIL — PAQUES.

14.20. Emission pour les jeunes.
16.20. „Les cloches de Saint-Marie” — un film de Mac Carey.
18.45. Magazine féminin.
20.30. „Le fugitif”.
22.05. Jacques Ary en liberté — une émission de Jacques Ary réal. François Chatel.
22.25. Micros et caméras.

MARDI 8 AVRIL.

13.30. Je voudrais savoir — éducateurs spécialisés.
16.20. Emissions pour les jeunes.
18.45. Echec au hasard.
20.30. „Le Soleil des eaux” de René Char, réal. Jean-Paul Roux.
22.10. Emission médicale d'Igor Barrère.

MERCREDI 9 AVRIL.

16.20. Emissions pour les jeunes.
18.45. Cadences.
20.30. La piste aux étoiles.
21.30. Un quart d'heure de...
21.45. Journal de voyage en Pologne nr. 6 „Grotowski” — une émission de Jean-Marie Drot.

JEUDI 10 AVRIL.

15.20. Emissions pour la jeunesse.
18.45. Lire et comprendre.
20.30. Panorama.
21.30. Mission impossible nr. 2 „Le Sceau” — un film de Lee Katzin.

VENDREDI 11 AVRIL.

16.20. Emissions pour les jeunes.
18.45. Loisirs tourisme.
20.30. Variétés dans la série „Clin d'oeil”: „Aimez-vous les uns les autres — une émission de Guy Bedos.
21.15. Forum jeunesse — „Le Tiers monde”.
22.30. Emission musicale.

SAMEDI 12 AVRIL.

16.00. Samedi et compagnie — aujourd'hui une émission d'Albert Raiser.
17.50. Le Petit Conservatoire de la chanson.
18.45. Les trois coups.
19.40. Accords d'accordeon.
20.30. Les aventures de Tom Sawyer.
21.00. „Un homme à terre” — une émission de Henri Grangé et André Maheux, réal. Louis Groppier.
22.30. Les coulisses de l'exploit — une émission de Raymond Marcillac.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émission sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
TELE-SOIR-COULEUR (C) — 19.40.
TELE-SPORT (C) — 19.55.

DIMANCHE 6 AVRIL — PAQUES.

14.30. (C) „Mexico Mexico” — film de François Reichenbach.
(C) L'Invité du dimanche, aujourd'hui: François Reichenbach.
20.00. (C) Annie, agent très spécial.
20.55. L'Homme et la mer.
21.50. (C) L'enfant et les sortilèges — fantaisie lyrique de Colette, musique de Maurice Ravel; un film de Roger Kahane.

LUNDI 7 AVRIL — PAQUES.

20.00. (C) Monsieur Cinéma.
20.30. (C) Spécial Catherine Deneuve — un film de Jean Baronnet tourné aux Etats-Unis.
21.15. (C) Festival Stanley Donen — film: „Beau fixe sur New York” (Gene Kelly).
22.55. (C) On en parle...

MARDI 8 AVRIL.

20.00. (C) „Yao”.
20.30. (C) Emission documentaire.
21.30. Au coeur de la musique.

MERCREDI 9 AVRIL.

20.00. (C) Les animaux du monde.
20.30. (C) Les dossiers de l'écran.
„Contre-espionnage à Gibraltar” — un film de John Guillerman.

JEUDI 10 AVRIL.

20.00. (C) Le mot le plus long.
20.30. (C) Musicolor — „L'Accent” — une émission de Jacques Bonnacarrère.
22.00. Bibliothèque de poche.
22.45. (C) On en parle...

VENDREDI 11 AVRIL.

20.00. Chronique de cinéma.
20.30. (C) „Leonce et Lena” — comédie de Georges Buchner, réal. Guy Lessertisseur.
22.00. (C) Variétés: „Joe Tex” — une émission de Christophe Izard.
23.00. (C) On en parle...

SAMEDI 12 AVRIL.

20.00. (C) La régé de cinq.
20.30. (C) Itinéraire de l'aventure.
21.00. (C) Variétés: Plaisir d'amour.
22.00. (C) Alain Robbe-Grillet ou „de la lettre à l'image” — réal. Pierre Bureau.

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chausteur-Lodelinsart
Mme Ol. Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique

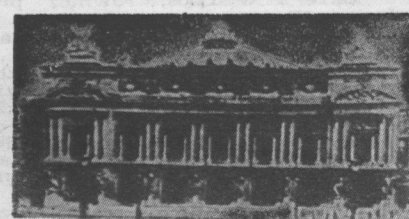
Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur

Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé
IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 3.



HOTEL OPERA-LAFAYETTE

CATEGORIE **A

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

80, rue Lafayette-PARIS 9-ème

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43 824-41-50

Wojska polskie pod dowództwem regimentarza i wojewody Stefana Czarnieckiego, w wyniku sojuszu z Danią przeciw Szwedom, wyruszyły późną jesienią 1658 roku do Danii, by pomóc w wyrzuceniu okupanta. Historia, którą przedstawiamy, jest prawdziwa, oparta na pamiątnikach Paska i badaniach historyków.

Kawaleria na okrętu

Wspomnienia Imc Pana Jana Chryzostoma Paska

Dziś: KORPUS CZARNIECKIEGO w drodze do Danii

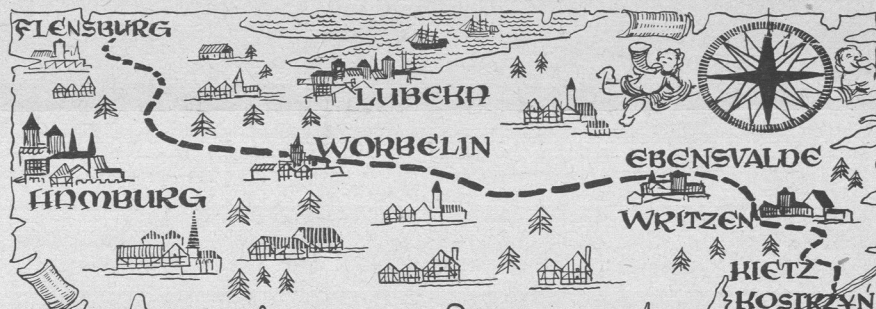
2

Rysował

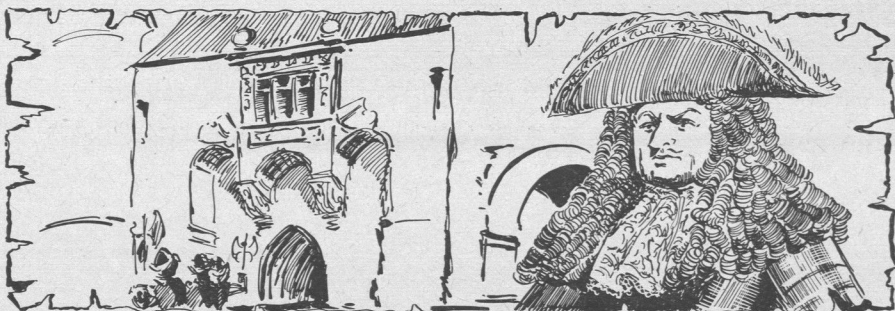
Wł. Dybczyński



Kiedy chorągwiom pana Czarnieckiego, kwaterującym w Drawsku, Czaplunku, Wąlczu i jeszcze kilku miejscowościach na Pomorzu, wydawało się, że przyjdzie im pozostać tu na zimowe leże, pod koniec sierpnia 1658 przyszła wieść, że niedługo cała dywizja wyruszy do Danii, by tam pomóc w wyrzuceniu Szwedów. Chociaż nie jeszcze nie było pewnego, zrobiło się ogromne z tego powodu poruszenie. „Frasowało to niejednego — opowiada pan Pasek — że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie powstała, iść z sześciu tysiącami wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, któregośmy potencji w ojczyźnie naszej wszystkimi siłami nie mogli wytrzymać... Ojcowie do synów pisali, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, gdzie by się miało zasługi i poczyty postradać... Wszyscy nas z góry uważali byli za zgubionych”. Długie też były dyskusje w obozach i na kwaterek: iść czy nie iść? Różne wyrażano co do tego opinie. Przeważał pogląd, że obowiązkiem wojska jest słuchać rozkazów wodzów, ale były i zupełnie odmienne zdania: nie iść w obcy kraj.



Z Sulęcina skierowano się na Kostrzyn i tu, w miejscu, gdzie Warta uchodzi do Odry, przeprowadzono się na drugą stronę. Do tej pory wszędzie łatwo się porozumiewano po polsku, jako że wszędzie mieszkali tu pomorscy Polacy. Za Odrą Brandenburczycy przygotowali wojskom Czarnieckiego pierwszy postępek, czym żołnierzy polskich bardzo sobie ujeli. Naprzód szli zawsze miejscowi komisarze, którzy organizowali kwatery. Na wyznaczone noclegi okoliczna ludność zwoziła prowianty. Żołnierz nie tracił więc czasu na jego zdobywanie, każdego dnia odpowiednio odpoczął, co dzień rano wsiadał na koń i posuwał się dalej. Szło to sprawnie i szybko. Z Kostrzyna chorągwie Czarnieckiego przedelfowały przez Writzen, Eberswalde, Worbelin, po czym kierowały się stopniowo ku północnemu zachodowi, zostawiając z lewej strony Hamburg, a z prawej — Lubekę. Stąd szły bardziej na północ na Rensburg i Szlezwig, bokiem obeszły Flensburg, skąd dotarły do Nybol i Apenrode już w Danii. Taka była trasa bardzo szybkiego pochodu Polaków.



Podczas dyskusji przyszedł rozkaz króla o wymarszu komunikiem, czyli sama jazda bez taborów, które zostawiono w Czaplunku. Rozkaz głosił, że w zastępstwie króla Czarniecki będzie podlegał Fryderykowi Wilhelmowi (1620 — 1688), elektorowi brandenburskiemu i księciu pruskiemu, który przeszedł na stronę polską. Fryderyk Wilhelm zawsze w porę miarkował, z której strony wiatr powieje. Pochodził z Hohenzollernów. Jego posiadłości składały się: z krajów nadreńskich, Brandenburгии i Prus Książęcych, czyli pozostałości dawnego państwa krzyżackiego. Te ostatnie podlegały Polsce i książę był obowiązany składać z nich lenno. Gdy Szwedzi napadli na Polskę, elektor sprzymierzył się z nimi, za co podarowali mu polską Warmię. Gdy w porę dostrzegł, że Szwedzi w Polsce przegrają, opuścił ich i przeszedł na stronę polską. Nie za darmo: do dotychczasowego lenna dodano mu Lębork i Bytów oraz odstąpiono Elbląg, zajęty jeszcze przez Szwedów, z prawem wykupu przez Polskę. W zamian za to przyrzekł królowi polskiemu pomoc wojskową.



Fryderyk Wilhelm, zwany wielkim elektorem, zadbał o to, aby przemarsz wojsk Czarnieckiego przez kraje niemieckie robił wrażenie gościnny u sojuszników. Sam też zjawiał się w wielu miejscach przed przybyciem na postój i witał polskie chorągwie. Polacy ze swej strony wprowadzili taką manierę, że przechodząc przez miasta defilowali przed miejscowymi władzami: oficerowie jechali przed chorągwiami z wydobytymi szablami, ich towarzysze trzymali pistolety do góry, a czeladź — bandolety, tj. krótkie strzelby. Do wojsk Czarnieckiego dołączyły się w Niemczech oddziały cesarskie. Dowodził nimi feldmarszałek Rajmund Montecuccoli — Włoch z pochodzenia. Było ich kilka tysięcy, zawodowców różnych narodowości. Razem z Polakami stanowili niemałą siłę. Ci szli jednak w kraj zupełnie sobie nie znany, leżący na morzu i choć mieli do wojskowej przebiegłości pana Czarnieckiego pełne zaufanie, raz po raz powtarzali pytanie, zadawane przez mniej doświadczonych: jak to będzie, gdy przyjdzie na koniach w wodzie walczyć z okrętami?



Z Czaplinka wyruszyło wojsko Czarnieckiego traktem przez Międzyrzec i Sulęcina, ku granicy Polski. Stąd część zawróciła: z 6 tysięcy, około 1500. Nie chcieli iść do Danii. Wśród tych, co uciekli, była chorągiew husarska, chorągwie starosty Osieckiego, wojewody podlaskiego Opalińskiego, wojewody sandomierskiego — Zamoyskiego, którego nazywano „sobiepanem”, a który ożeniony był z Francuzką — Marią d'Arquien, późniejszą królową Marysięnką, wielu rycerzy i czeladzi. Z niektórych chorągwi pozostało tylko dwóch lub trzech. Włóczyli się oni za wojskiem, nazywano ich Cyganami. Pasek ze swoimi pozostał. „Ojciec mój — powiedział towarzyszom — rozkazał mi, żebym imię Boskie wzięwszy na pomoc, szedł śmiało tam, gdzie wola wodza, pod błogosławieństwem ojcowskim”. Za granicą niejedni obejrzał się za siebie zapytując w duchu: „Miła ojczyzno, czy cię też jeszcze zobaczą?”. Wszystko wojsko zaśpiewało teraz „O chwalebna Pani”, konie zaś w pułkach jak na komendę uczyniły ogromne parskanie, co przyjęto za dobry znak.

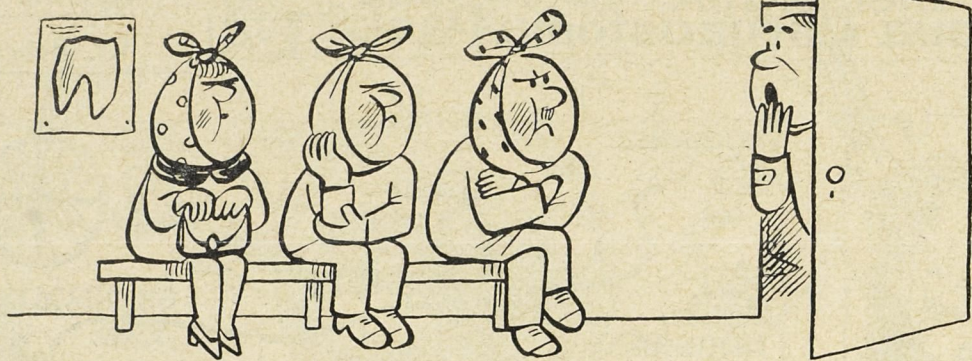


Żołnierz jak to żołnierz, w obcym kraju lubi zawsze pohulać, nie liczy się z miejscowymi zwyczajami ani cudzą własnością. Nie każdy, ale wielu. Przywieźć łup z wojennej wyprawy stało się zwyczajem i żołnierskim prawem odkad wojny istnieją. Ponieważ wielki elektor traktował przemarsz Polaków jako wojsk sojusznicy, a miejscowa ludność sama z jego rozkazu spełniała ich potrzeby, więc pan Czarniecki nie mógł dopuścić do żadnych wybryków. Wydał też surowy rozkaz zabraniający wszelkiego rodzaju nadużyć. Zapowiedział surowe kary. „Karanie zaś — relacjonuje pan Pasek — za wszelkie takie ekscesy polegało nie na ścinaniu czy rozstrzelaniu. Przywiązywano winnego za nogi do konia i włóczono go po pustym placu obozowym. Według dekretu lubo dwa lubo trzy razy naokoło. I zdawało się zrazu, że to niewielka rzecz. Ale to okrutna jest męka, bo nie tylko suknie, lecz i ciało od człowieka odpada i same tylko kości zostają”. Wszyscy się musieli temu przypatrywać i ochota im wszelka od ekscesów odchodziła.

W następnym numerze: POLACY NAD FIORDAMI I CIEŚNINAMI DANII

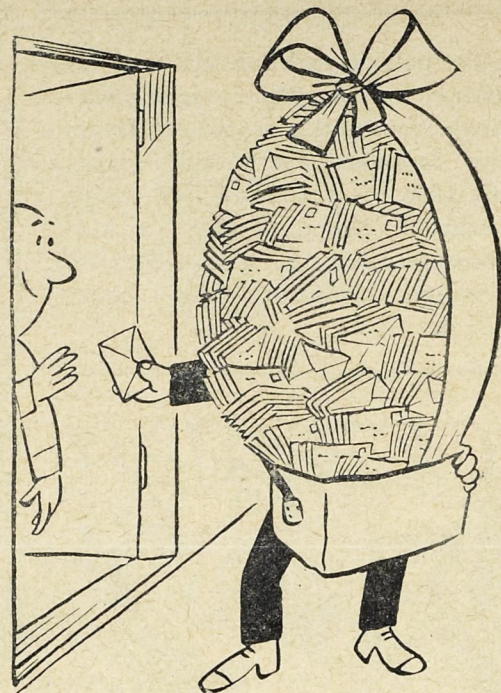
HUMOR Z JAJKIEM

Gwidon Miklaszewski



— „Wesołego Alleluja”... O przepraszam, następny proszę!

— Joyeuses Pâques, oh pardon! Le suivant s.v.p...



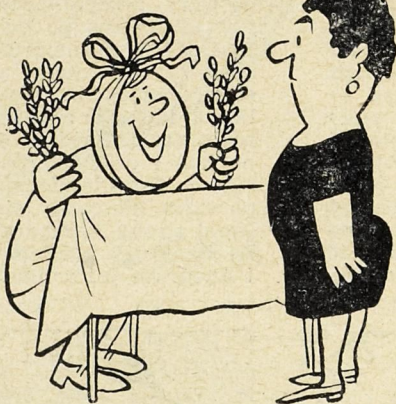
— Wesołych Świąt życzy listonosz!

— Joyeuses Pâques vous souhaite le facteur...



— A co przynosi na Wielkanoc roz-targniony profesor? Może szynkę?

— Je me disais bien qu'il faisait trop chaud pour un Noël...



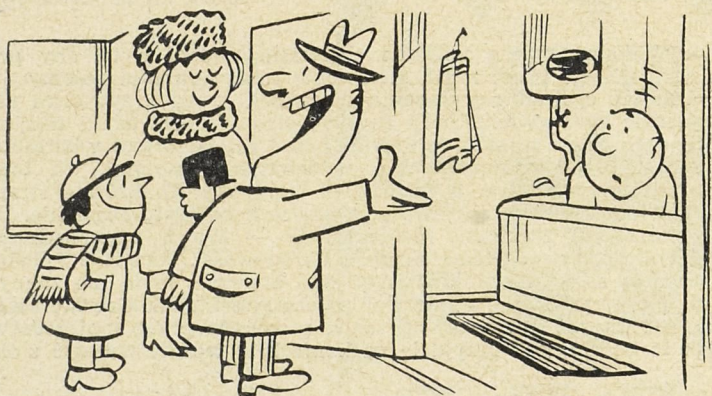
— Pisanka dla ciebie, kochanie!

— Je n'avais pas eu le temps de décorer un oeuf...



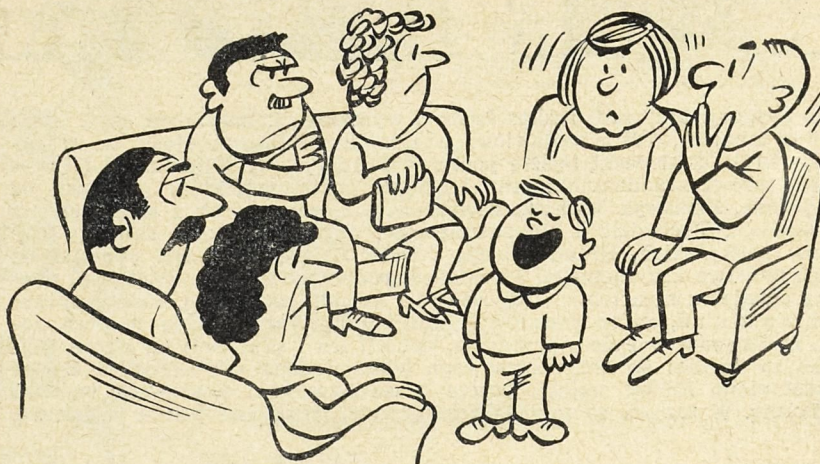
— Czy to ty ich zaprosiłeś na Święta?

— Est-ce toi qui les a invités pour les fêtes?...



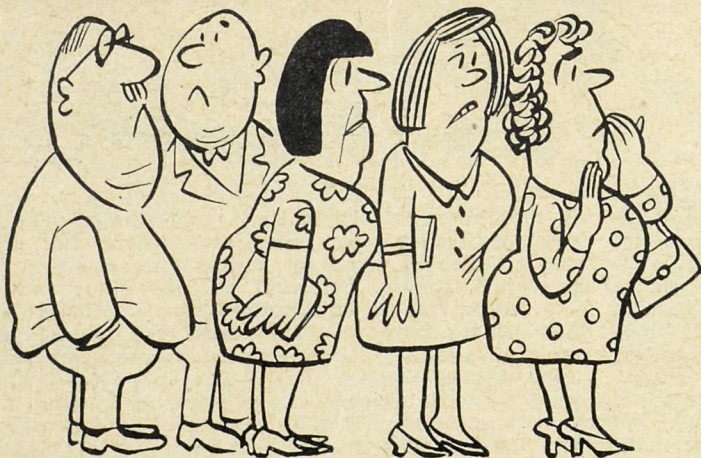
— Widzisz? Mówiłem ci, że się nas nie spodziewają!

— Je t'avais bien dit qu'il serait surpris de nous voir arriver.

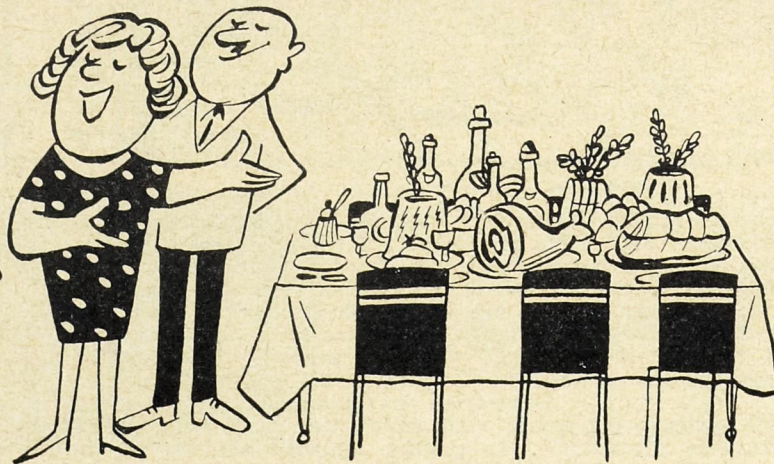


— A ja wiem, gdzie mamusia schowała przed wami tort orzechowy!

— Si vous voulez bien, je vais vous dire où maman a caché la tarte aux noix...



— Proszę do kalorii!



— Veuillez passer aux calories...